

NASZA WSPÓLNOŚĆ

PISMO DUSZPASTERSTWA POLONII W WIEDNIU

LUTY – KWIECIEŃ 2016

NR 456



Nie jesteśmy

sami!



Po raz dwudziesty siódmy

W czasie roznamiętnionych opinii i sporów o ..., uporczywie biegnącego (zawsze tak samo!) czasu, hałaśliwych zanadto mediów, ciągłego zmęczenia – możemy przygotować się do największych świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Oczywiście, o ile w ogóle zdołamy sobie o nich przypomnieć. A przygotowania – bardzo zachęcam – winny rozpocząć się na pustyni, gdzie bynajmniej łatwo nie jest. Pustynia symbolizuje całkowitą prostotę i to, co między Bogiem a nami, a co powinno być bez lukru i niepotrzebnych świecidełek. Pustynia to wyrzeczenia, rekolekcje, droga krzyżowa, refleksja nad grzechem, spowiedź i nawrócenie. A to wszystko po to, by spotkać się z Jezusem, Bogiem, który chce dla nas jak najlepiej. Taki też jest ten obecny numer naszej gazety. Bez fajerwerków, nieco „pustynny” – a to po to, byś, Drogi Czytelniku, mógł odnaleźć swoją ścieżkę wiary, ścieżkę od cierpienia do zwycięstwa nad złem.

ks. Maciej Gawlik

NASZA
WSPÓLNOŚĆ

Nakład: 500 egz.

Wydawca: Polska Misja Katolicka w Austrii – Zgromadzenie Zmartwychwstańców

Redakcja: Maciej Gawlik CR (naczelný)

Korekta: Patrycja Maciejewska

Adres do korespondencji: bezkres42@gmail.com

Projekt graficzny: Wydawnictwo Księży Sercanów DEHON, Klemens Knap
www.wydawnictwo.net.pl

Druk: EKODRUK, Kraków 2016

Okładka: Pród: Julia Polańska, Pocieszenie, 2016.

Tył: Chrystus Frasobliwy. fot. Julia Polańska.

Składane ofiary przeznaczone są na pokrycie kosztów druku

Będzie się działo na Rennwegu...

- 27.02.2016 - Sobota, 10-14 - V Dyktando Polonijne, Emaus
- 28.02.-01.03.2016 - Niedziela - Wtorek - Kościół - Rekolekcje wielkopostne dla młodzieży - ks. Kamil Falkowski (plan osobno)
- 28.02.2016 - Niedziela, 12 - Kościół - Msza św. Oazy i ministrantów
- 04.03.2016 - Piątek - Kościół - I piątek miesiąca - spowiedź 16:30 i 18:30, Msze św. o 17, 18 i 19
- 04.03.2016 - Piątek - Kościół - Droga krzyżowa dla dzieci o 17:30, dla dorosłych o 19:30 (przygotowuje chór „Gaudete”)
- 07.03.2016 - Poniedziałek, 19:30 - Kościół - Spotkanie z rodzicami dzieci Pierwszokomunijnych
- 11.03.2016 - Piątek - Kościół - Droga krzyżowa dla dzieci o 17:30, dla dorosłych o 19:30 (przygotowuje AA)
- 11.03.2016 - Piątek, 20:30 - Kościół - „Wieczór Chwały” Wspólnoty „Galilea”
- 12.-20.03.2016 - Sobota - Niedziela - Kościół - Rekolekcje wielkopostne - ks. Rafał Golina (plan osobno)
- 16.03.2016 - Środa, 20 - Emaus - Katecheza filmowa dla mężczyzn
- 18.03.2016 - Piątek - Kościół - Droga krzyżowa dla dzieci o 17:30, dla dorosłych o 18:00 (przygotowuje Kościół Domowy)
- 18.03.2016 - Piątek, 20 - 23 - Kościół - Wieczór Konfesjonatów
- 20.03.2016 - Niedziela Palmowa, 10:30 - Kościół - Poświęcenie palm
- 24.03.2016 - Wielki Czwartek, 18 - Kościół - Msza Wieczerzy Pańskiej
- 25.03.2016 - Wielki Piątek, 15 - Kościół - Droga krzyżowa

Rekolekcje wielkopostne

13-20 marca 2016

Sobota, 12 marca

- 19.00 Msza św. z nauką (Msza z niedzieli)

Niedziela, 13 marca

Temat: Bóg mnie stworzył

- Msze św. z nauką: 8.00; 9.00; 12.00; 13.15; 17.30; 19.00; 20.15
- Msza św. z nauką dla dzieci: 10.30
- Msza św. bez kazania + Gorzkie Żale z kazaniem pasyjnym: 16.00
- Spowiedź: w czasie wszystkich Mszy św.

Poniedziałek, 14 marca

Temat: Bóg mnie bezwarunkowo kocha

- Msze św. z nauką: 9.00; 19.00
- Spowiedź: 9.00; 18.00-20.00

Wtorek, 15 marca

Temat: Bóg zaszczyił we mnie roztropność

- Msze św. z nauką: 9.00 (udzielenie sakramentu namaszczenia chorych); 19.00
- Spowiedź: 9.00; 18.00-20.00 →



- 25.03.2016 – Wielki Piątek, 19 – Kościół – Liturgia Męki Pańskiej
- 26.03.2016 – Wielka Sobota, 20 – Kościół – Liturgia Wigilii Paschalnej z procesją rezurekcyjną
- 27.03.2016 – Niedziela Zmartwychwstania – Kościół – Msze św. jak w każdą niedzielę
- 28.03.2016 – Poniedziałek Wielkanocny – Kościół – Msze św. jak w każdą niedzielę (nie ma Mszy św. u SS. Salezjanek)
- 31.03.2016 – Czwartek, 18:30 – 20 – Emaus – Kurs dla kantorów – p. Michał Kucharko (kolejne spotkania 07., 14., 21., 28.04)
- 02.04.2016 – Sobota, 20 – Kościół – Godzina Miłosierdzia (org.: Zwyw Rózaniec)
- 04.04.2016 – Poniedziałek, 19:30 – Kościół – Spotkanie z rodzicami dzieci Pierwszokomunijnych
- 08.04.2016 – Piątek, 19:30 – Kościół – „Wieczór Chwały” – Wspólnota „Galilea”
- 13.04.2016 – Środa, 20 – Emaus – Katecheza filmowa dla mężczyzn
- 18.04.2016 – Poniedziałek, 19:30 – Kościół – Spotkanie z rodzicami dzieci obchodzących 1. rocznicę I Komunii Św.
- 23.04.2016 – Sobota, 16 – Kościół – Spowiedź dzieci Pierwszokomunijnych
- 24.04.2016 – Niedziela – Ks. Maciej Braun CR rozprowadza swoją książkę
- 30.04.2016 – Sobota, 10 – Kościół – Pierwsza Komunia Święta
- 05.05.2016 – Czwartek – Kościół – Wniebowstąpienie Jezusa – Msze św. Jak w niedziele (nie ma Mszy św. u Salezjanek)
- 06.05.2016 – Piątek, 16:30 – Kościół – Spowiedź dzieci obchodzących 1. rocznicę Komunii Św.
- 07.05.2016 – Sobota, 16:30 – Kościół – Próba przed uroczystością 1. rocznicy I Komunii Św.
- 08.05.2016 – Niedziela, 10 – Kościół – Rocznica I Komunii Św.

Rekolekcje wielkopostne (cd.)

Środa, 16 marca

Temat: Zło mnie pociąga

- Msze św. z nauką: 9.00; 19.00
- Spowiedź: 9.00; 18.00-20.00

Czwartek, 17 marca

Temat: Ulegam grzechowi

- Msze św. z nauką: 9.00; 19.00
- Spowiedź: 9.00; 18.00-20.00

Piątek, 18 marca

Temat: Bóg wzywa mnie do męstwa

- Msze św. z nauką: 9.00; 19.00
- Droga Krzyżowa (dla dzieci): 17.30
- Droga Krzyżowa (dla dorosłych): 18.00
- spowiedź: 9.00
- Wieczór Konfesjonatów: 20.00-23.00

Sobota, 19 marca

Temat: Bóg powołuje mnie do Wspólnoty

- Msze św. z nauką: 9.00; 19.00
- Adoracja NS prowadzona przez Kościół Domowy: 20.00-21.00
- Spowiedź: 9.00; 18.00 – 20.00

**Niedziela Palmowa, 20 marca
(zakończenie rekolekcji)**

Temat: Bóg wzywa mnie do przemiany

- Msze św. z nauką: 8.00; 9.00; 12.00; 13.15; 17.30; 19.00; 20.15
- Msza św. z nauką dla dzieci: 10.30 (procesja z palmami)
- Msza św. bez kazania + Gorzkie Żale z kazaniem pasyjnym: 16.00
- Spowiedź: w czasie wszystkich Mszy św.

Rekolekcje prowadzi: ks. Rafał Golina CR



Przygotowanie

Panie, uczynź ze mną to, co chcesz, bo ja sama nie potrafię!

Do każdego z nas zbliża się czas oczekiwania na spotkanie z Panem Jezusem Zmartwychwstałym. Jak chcę przygotować się na Jego przyjście w czasie tegorocznych Świąt Wielkanocnych?

Żyję i poruszam się w określonej rzeczywistości. Staram się rzetelnie wypełniać moje rodzinne obowiązki – codzienna domowa krzątanina, zakupy, gotowanie, rozmowy z dziećmi. Na pewno pomaga mi codzienna, żywa modlitwa, czytanie Słowa Bożego. Dzięki temu czuję, że to, co robię w codziennym życiu, robię dla Jezusa, tak jakby On był ze mną w każdej sytuacji. Wiem, że potrzeba mi więcej cierpliwości i wyrozumiałości dla moich najbliższych. Sam Pan Jezus przypomina mi, bym była osobą autentyczną, świadkiem Jego obecności.

Pan Jezus oddał swoje życie za każdy mój grzech, zmartwychwstał i żyje każdego dnia, bym ja stawiała się z Jego pomocą osobą prawdziwie wolną, szczęśliwą, realizującą się w powołaniu, które On przeznaczył dla mnie.

Wierzę, że Duch Święty poruszy moje i Twoje sumienie, by rzeczywiście w nowy sposób doświadczyć Jego Zmartwychwstania. W czasie mojego postu chcę, by Duch Święty uwrażliwił moje serce na po-

lepszenie relacji w mojej rodzinie z najbliższymi. Wiem, że potrzeba czasem milczenia, wybaczenia, zwykłego uśmiechu na twarzy, podnoszenia się wzajemnie na duchu w trudnościach, nadziei na lepsze. Wiem, że Pan Jezus bardzo mnie kocha i pomoże mi dzień po dniu przybliżać się do Niego, da mi siłę do umiarkowanego jedzenia. Spróbuję nie marnować czasu na programy telewizyjne, które mogą osłabić wiarę i okradają moją rodzinę z cennych wartości przez brak czasu na wspólne rozmowy. Nie można zapomnieć o ogromnym cierpieniu Jezusa w czasie zwykłej bieganiny dnia codziennego! Chcę umieć oddać mu coś, do czego jestem przywiązana, a co nie służy mojemu dobru. Pan Jezus potrzebuje mojego serca otwartego na chęć przemiany. Panie, uczynź ze mną to, co chcesz, bo ja sama nie potrafię!

„Ukaż mi drogi Twoje Panie, naucz mnie chodzić ścieżkami, które wskazujesz. Prowadź mnie w Twojej wierności i pouczaj, bo Ty jesteś Bogiem i moim Zbawicielem. Cały dzień wyczekuję Cię z tęsknotą. Wspomnij na swe miłosierdzie, Panie, na swoją łaskę, która trwa od wieków.” (Ps 25, 4-7).

Małgorzata Prażuch



Działo się na Rennwegu...

- **21.11.2015** – dzień skupienia ministrantów i lektorów (w parafii Neu Simmering)
- **05.12.2015** – początek rekolekcji adwentowych – ks. Andrzej Skrzypczak CR
- **06.12.2015** – zbiórka słodczy dla potrzebujących dzieci (św. Mikołaj)
- **08.12.2015** – dzień patronalny Rycerzy Niepokalanej – uroczyste przyjęcie nowych kandydatów.
- **11.12.2015** – poświęcenie medalików dzieciom pierwszokomunijnym
- **11.12.2015** – Wieczór Konfesjonałów
- **13.12.2015** – Trzecia niedziela Adwentu – okolicznościowy koncert chóru „Gaudete”
- **24.12.2015 22:00 i 24:00** Msze św. pasterskie
- **25.12.2015** Boże Narodzenie – Msze w porządku niedzielnym
- **26.12.2015** Święto św. Szczepana – Msze w porządku niedzielnym (bez SS. Salezjanek)
- **27.12.2015** Niedziela Św. Rodziny – na Mszy o 13:15 odnowienie przyrzeczeń małżeńskich
- **07.01.2016** – przesłuchania do powstającego chóru dziecięcego.
- **08.01.2016** – „Wieczór Chwały” Wspólnoty „Galilea”
- **09.01.2016** – zabawa karnawałowa „Galilei” (Emaus)
- **10.01.2016** – otwarcie Emaus po przerwie świąteczno-noworocznej

(cd. s. 17)

Bóg siedzący na dnie butelki

Jeżeli zamiast skupić się na Bogu, skupiasz się na diecie, wiesz, że robisz źle. Szukasz Boga na dnie kolejnego pustego kieliszka? Jeżeli tak, to nieźle pomyliłeś kierunki. Nie przejmuj się jednak, przecież nadchodzi Wielki Post, czyli kilka tygodni na ogarnięcie własnego życia, aby je później ponownie wyrzucić i napęłnić nowym sensem życia w formie alkoholu.

A może w tym roku nowa dieta, sprawdzona przez amerykańskich naukowców, otworzy Ci oczy, a marchewka w końcu stanie się bardziej pomarańczowa niż była wcześniej? Prawda jest taka, że pozbędziesz się tylko kilku kilogramów, a twoja wiara w niczym się nie zmieni, tak jak kolor marchewki na twoim talerzu. Zapomnij zatem o tych absurdalnych obietnicach, które do niczego nie prowadzą, bo coś takiego nie ma prawa się znaleźć w kategorii Wielkiego Postu.

Wielki Post nie nakazuje Ci się zmieniać i nikt nie oczekuje od Ciebie, żebyś był ideałem. Celem tych kilku tygodni jest odnalezienie samego siebie i ukrytej w nas samych miłości Bożej. Jeżeli zamiast skupić się na Bogu, skupiasz się na diecie, wiesz, że robisz źle.

Wykorzystaj czas Wielkiego Postu dla siebie i zbuduj stałą relację z Bogiem. Nie szukaj jego miłości w innych, bo ludzie przychodzą i odchodzą. Opierając wszystko na nich, zostaniesz bez niczego. Nie używaj też twarzy innych jako lustro dla siebie. Jesteś indywidualną osobą ze swoim indywidualnym sposobem myślenia.

Zamiast tego proś o rady i zastanów się, czy jesteś w stanie je w jakiś sposób wykorzystać na swojej drodze. Przebywaj z ludźmi i choć raz, zamiast skupiać się na ich zachowaniu i ich osądzać, skup się także na sobie. Zbieraj informacje, między innymi te, które znajdują się w Biblii i szukaj w nich tego, czego jeszcze brakuje Ci w twojej wierze. Nie wracaj do starych nawyków, jeżeli widzisz, że Cię niszczą i ranią bliskich. I oczywiście wybacжай innym i samemu sobie. Błędy są po to, żeby się z nich uczyć i może kiedyś zrozumiesz, po co wtedy sięgnąłeś po nową butelkę.

Karoline Matuszyk

40 dni Wielkiego Postu

Takie poszczenie nic nie daje, ponieważ po tych 40 dniach nie pozostanie nam w rękach kompletnie nic.

Obietnice wielkopostne są dotrzymywane albo i nie. Pół biedy, kiedy nie są, bo gdy są, są one albo średniego lotu albo tyczą się wyłącznie krótkiego okresu tych 40 dni. Wtedy panowie postanawiają sobie zawsze nic nie pić. Panie natomiast postanawiają sobie to samo i z tym jest wielka bieda, ponieważ picie alkoholu raczej nie należy do ich wielkich przyjemności, nie jest to więc dla nich żaden post. Ponadto straszliwym postem dla wielu może być ograniczenie liczby wypowiedzianych słów, chociaż o połowę, na wzór zakonów żeńskich, w których nie wolno nic gadać. Wtedy dla każdego



męża takiej żony post może okazać się bardzo pięknym czasem błogiego spokoju. Obecnie modne są też takie wyciszające rekolekcje wewnątrz zakonnych murów.

Inna bieda z obietnicami wielkopostnymi polega na tym, że dotyczą wyłącznie tych 40 dni. Już w Wielką Niedzielę staramy się nadrobić stracony czas, więc panowie polewają szklankami, a panie wyciągają ogromne brytfanny i wiadra sałatek, które znikają migiem w plotkarskiej atmosferze. Panowie mają potem kaca-giganta, a panie tracą swe piękne talie i przyznają „Mam wymiary 90, 90, 90 i mówią o mnie – równa babka”.

Takie poszczenie nic nie daje, ponieważ po tych 40 dniach nie pozostanie nam w rękach kompletnie nic. Efekt jojo jest nam wszystkim dobrze znany, więc trzeba go unikać. Pożytek z tego przedsięwzięcia byłby tylko wtedy, gdyby to poszczenie coś w nas zmieniło, coś zniszczyło lub coś zbudowało, ale tak na stałe, na całe życie, nawet gdyby to była malutka kropelka jakiegoś dobra, która nam pozostałaby na zawsze. Wielki Post nie ma być ani czasem hamowania ani przyspieszania, lecz ma być czasem „driftowania”, czasem gazowania i palenia gum, zmieniającym drogę naszego życia w tym innym, lepszym kierunku.

Tadeusz Poręba



Nasza wiara

Miłosierdzie co do duszy

1. **Grzeszących upominać.** Nie mogę być obojętna, kiedy czuję, że osoba mi bliska, popełniając grzech, zraniła mnie, a także moich bliskich. W duchu łagodności i serdeczności porozmawiam z nią osobiście, jednocześnie modląc się za nią. Wierzę, że ona sama poczuje, być może nie od razu, tak jakbym tego oczekiwała, że to, co wydarzyło się niedobrego, będzie mogła naprawić. Nie bój się przyjąć upomnienia od osoby, której na Tobie zależy. Duch Święty działa i dotyka naszych sumień!

2. **Nieumiejętnych pouczać.** Nie każdy potrafi podejmować dobre decyzje we właściwym czasie. Zawsze możesz przyjść do Jezusa, opowiedzieć mu o sobie albo nawet stanąć przed Nim w ciszy własnego serca, we własnej niemocy. Na Nim nigdy się nie zawieszysz. Weź do ręki Pismo Święte, pomódl się, poproś Go o Jego słowo dla Ciebie w tej sytuacji, w której się znajdujesz i nie wiesz, co możesz uczynić. Jego słowo ma moc, która uzdolni Cię do dobrych wyborów w Twoim życiu.

3. **Wątpiących dobrze radzić.** Czy cięgle wahanie się, niezdecydowanie, długoterminowe rozmyślanie bez dokonywania jakichkolwiek wyborów pochodzi od Tego, który zawsze pragnie dla Ciebie dobra? Uwierz na nowo w swoim sercu, że Pan chce uzdolnić Cię do odwagi, stanowczości, usuwając lęki, niepokój, obdarzając Cię pokojem. Potrzeba każdego dnia, by Twoja wiara była żywa, by była choćby jak „ziarenko gorczycy”.

4. **Strapionych pocieszać.** Czy potrafisz na co dzień zobaczyć smutek, przygnębienie, brak radości, przygaszenie u osoby, którą często widzę, a może nawet z nią mieszkam? Czy potrafisz powiedzieć jej dobre słowo, dzięki któremu poczuje nadzieję, że nawet w najtrudniejszej sytuacji jest z nią Pan Jezus. Osoba pełna smutku potrzebuje poczuć się potrzebna i kochana tak, aby każdy następny dzień

życia z Bożą pomocą stawał się dla niej pełen radości.

5. **Krzywdy cierpliwie znosić.** Kiedy czuję, że zostałam zraniona, potrzebuję wiele czasu na przebaczenie. Jeśli jest to natomiast bardzo bolesne doświadczenie, pomimo że przebaczyłam, czasem wciąż jestem smutna. Pan Jezus zawsze zachęca mnie do błogosławienia swoich nieprzyjaciół, powierzając ich Bogu w modlitwie. Warto przytulić się do Krzyża, zanurzyć w Jego ranach, bo to On został najbardziej skrzywdzony przez tych, którzy wydali Go na śmierć.

6. **Urazy chętnie darować.** W swoim życiu spotykam różne osoby, od których otrzymuję dobro i chcę z nimi przebywać, ale też takie, do których wracam niechętnie. Często czuję się zraniona, pokrzywdzona, niezrozumiana. Wtedy rosną we mnie bariery i wysokie mury. Na pewno nie czuję się z tym dobrze, gdy ciągle coś zalega i jak „wrzód ropiejący”. Panie Jezu! Naucz mnie przebaczać, nie rozpamiętywać, nie szukać prawdy na siłę, bo tylko wtedy moje serce będzie prawdziwie wolne.

7. **Modlić się za żywych i umarłych.** Dziękuję Ci, Panie Jezu, za każdą osobę, która nauczyła mnie modlić się do Ciebie i za te wszystkie osoby, za które ja się modlę. Wierzę, że Ty zawsze mnie wysłuchujesz. Moja modlitwa jest potrzebna tym, którzy za życia przeżywają różne trudności oraz tym, którzy z serca dziękują za wszelkie dobro od Ciebie. Ty, Jezu, znasz ludzkie serca, Ty działasz w życiu każdego, kto przychodzi do Ciebie i szuka u Ciebie pomocy, bo Ty jesteś ponad każdy mój problem. Wierzę, że Ci, których już nie ma wśród nas, także potrzebują Twojej opieki, by prawdziwie cieszyć się i radować Twoim Królestwem na zawsze.

Agnieszka Prażuch

Czternaście wspomnień – „wrócę do was, obiecuję”

Popychają Mnie, bo chcą, abym szedł szybciej. Niektórzy pragną, żebym już zniknął z ich oczu.

I. Skazują Mnie na śmierć. Nie wierzą w Moją niewinność. Z ust ludzi pada tyle niesprawiedliwych i krzywdzących wyroków. Często niesłusznie posądzają swoich bliźnich o rzeczy, których oni nie zrobili. Staję w obronie tych mniejszych i potępionych. Jestem z wami.

II. Biorę krzyż na ramiona. Wyruszam w drogę, mimo jego ciężaru. Wiem doskonale, jaki jest cel tej wędrówki – nie

Moja śmierć, ale wasze zbawienie.

III. Krzyż na Moich barkach staje się coraz cięższy. Z każdym kolejnym krokiem zaczyna ubywać mi sił. W końcu upadam... Nie mogę tutaj tak pozostać, muszę iść dalej. Tak bardzo was kocham.

IV. Idzie za mną mnóstwo ludzi. Część z nich szydzi i Mną gardzi, ale są też i tacy, którzy przyszli Mnie wspierać.

Jest i Moja Matka. Ona wszystko rozumie. Nic nie mówi, jest cały czas obok.

V. Wyciągnął do Mnie pomocną dłoń. Szymon pomaga Mi nieść krzyż. Tak, Ja też potrzebuję pomocy. Jestem człowiekiem – takim samym jak wy. Jestem czasami taki bezradny...

VI. Weronika ujrawszy Moją zakrwawioną twarz, natychmiast przybiegła otrzeć ją swoją chustą. Nie brzydziła się. Ta dziewczyna odważną postawą pokazuje innym, jak bardzo Jestem dla niej ważny.

VII. Popychają Mnie, bo chcą, abym szedł szybciej. Niektórzy pragną, żebym już zniknął z ich oczu. Tracę równowagę i upadam na ziemię. Jestem jednak na tyle silny, że znowu się podnoszę. Gdzie są teraz Moi uczniowie? Czy są bezpieczni? Nie mam do nikogo pretensji.

VIII. Na drodze spotykam niewiasty. Ubolewają bardzo nad Moim losem. Nie rozumieją, że chcę przejść przez te cierpienia. Taka jest Moja wola i wola Mojego Ojca.

IX. To już trzeci upadek. Wielu ludziom wydaje się, że już się nie podniosę, że to koniec. Proszę Ojca, aby dał Mi jeszcze trochę siły, żebym mógł przemierzyć całą drogę. Wstaję i idę dalej.

X. Chcą upokorzyć, dlatego obnażają Moje ciało z szat. Pozostawili nagiego przed tłumem. Gdybym was nie kochał, obnażyłbym w ten sam sposób każdego z was. Znam wszystkie wasze słabości i grzechy, ale miłość Moja jest od nich dużo większa.

XI. Na Moim ciele pojawiło się tyle ran... Z każdej sączy się krew. Tak zakrwawionego przybijają Mnie do krzyża. Gwoździe przedzierając się przez ręce i nogi, miażdżą kości i sprawiają potężny ból.

XII. Zawisłem na krzyżu. Teraz doskonale was wszystkich widzę. Jestem też bliżej Ojca. Umieram... Moja śmierć nie oznacza, że was opuszczam. Będę z wami przez cały czas. Oddałem życie, żebyście wy mogli żyć!

XIII. Moje martwe ciało zdejmują z krzyża i składają je w ramiona Mojej Matki. A ona swoimi łzami obmywa krew z ciała. Jest tak samo milcząca jak wtedy na tej drodze...

XIV. Ciało ułożyli w grobie. Nikt już tutaj wejść nie może – strażnicy strzegą tego miejsca. Już niedługo grób ten pozostanie pusty. Wrócę do was, obiecuję.

H.M.



Kościół w Anglii

Jedno pomieszczenie, przypominające salę wykładową, zostało przekazane do dyspozycji dla wszystkich wyznań religijnych. Ścisły grafik, kto kiedy może z tej sali korzystać. Do dziś trudno mi nazwać to kaplicą.

Zawsze bardzo lubiłam język angielski, dlatego też zainteresowałam się Anglią. W Wielkiej Brytanii mieszkają ludzie różnych wyznań, kultur i narodowości. Z tego powodu religia jest traktowana tam jako temat tabu – najlepiej niech każdy zachowa swoje poglądy na ten temat dla siebie. Taktowne milczenie.

Więc jak to jest możliwe, że właśnie w tym wielowyznaniowym kraju, w którym moja własna religia nie odgrywa żadnej znaczącej roli, przeżyłam piękny, cudowny rok wzrastania duchowego i refleksji religijnej?

Kiedy dowiedziałam się, że mogę wyjechać na rok na studia do Anglii, od razu

sprawdziłam, czy w moim mieście będą msze katolickie. Jakie wielkie było moje zdziwienie, gdy dowiedziałam się, że w każdą niedzielę odbywają się one nawet na kampusie, czyli w miasteczku studenckim.

Jeszcze większe zaskoczenie przeżyłam, kiedy dotarłam na miejsce. Jedno pomieszczenie, przypominające salę wykładową, zostało przekazane do dyspozycji dla wszystkich wyznań religijnych. Ścisły grafik, kto kiedy może z tej sali korzystać. Do dziś trudno mi nazwać to kaplicą. Była to sala, w której przed mszą ksiądz przekształcał zwykły stół w ołtarz i wieszał krzyż na ścianę, by zaraz po zakończeniu

mszy znowu go zabrać. Krzesła czerwone i fioletowe, w barwach uczelni, wypożyczane z sąsiednich sal wykładowych.

Oczywiście, jako wieloletni oazowicz, jestem przyzwyczajona do mszy polowych lub pokoi przekształconych w kaplice, ale to zawsze było jednorazowe, krótkotrwałe, nigdy nie na cały rok. Kościół musi przecież być godnym miejscem, do którego przynosimy wszystko najcenniejsze, co mamy. Dlatego na początku nie mogłam się pogodzić z myślą, że zamiast do kościoła będę chodziła na mszę do tego pomieszczenia, którego nawet nie mogłam określić kaplicą.

Na mszę w niedzielę przychodziło około 60 osób. Może to niewiele, ale wystarczająco, żeby stworzyć wspólnotę. Szybko zauważyłam, jak bardzo każdy jest zaangażowany w tą naszą małą wspólnotę. Ksiądz ciągle organizował wykłady, spotkania modlitewne, wycieczki i rekolekcje. W jedną z niedziel po mszy zaprosił chętnych na spontaniczną wyprawę do Walsingham, czyli „angielskiej Częstochowy”. Wypożyczył od uczelni bus i sam nas tam zawiózł. Podobnych wycieczek było mnóstwo.

W czasie adwentu mieliśmy rekolekcje prowadzone przez różnych księży. Podczas Wielkiego Postu razem ze wspólnotą anglikańską odprawialiśmy drogę krzyżową, a potem zorganizowano warsztaty,



Kościół w Walsingham

aby poznać głębiej naszą wiarę. Były też całonocne czuwania przed Najświętszym Sakramentem. Na Zesłanie Ducha Świętego przyjechał do nas biskup i udzielił Sakramentu Bierzmowania. Oprawę muzyczną na każdą mszę przygotowywało młode małżeństwo – doktorant grający na gitarze oraz jego żona, która wykłada na Wydziale Psychologii. Do każdej pieśni ich córeczka wymyślała zabawne tańce i czasem trudno było zachować powagę. Tak właśnie Kościół łączył nas wszystkich – studentów i profesorów, młodych i starszych, ludzi z różnych krajów, o różnych zainteresowaniach i poglądach, ale zjednoczonych tą samą wiarą.

Każdemu zależało na tym, abyśmy byli żywą wspólnotą. Wypełnialiśmy też podstawowe przesłanie ewangelizacji. Przy uczelni funkcjonowały różne stowarzyszenia studenckie – sportowe, muzyczne, a także religijne. Przygotowywały one m.in. akcje charytatywne i często prezentowały się na forum studenckim. My również braliśmy udział, sprzedając ciasta, które wcześniej przygotowaliśmy w akademiku czy losy na loterie ufundowaną przez parafian z miasta, a także smażąc naleśniki we wtorek przed Środą Popielcową. Anglicy nie znają „tłustego czwartku“, mają za to „Pancake Day“, czyli „naleśnikowy wtorek“.

Moja wspólnota kościelna szybko stała się dla mnie rodziną w obcym kraju, a także moim znakiem rozpoznawczym. W akademiku mówiono o mnie, że jeśli nie ma mnie w domu, to pewnie jestem w kościele. Zawarłam tam piękne nowe przyjaźnie i poznałam wielu wspaniałych ludzi.

Być może właśnie tak wygląda przyszłość Kościoła. Jak dobrze, że zawsze możemy znaleźć odniesienie w Piśmie Świętym. Pan Jezus przecież powiedział: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało“ (Łk 10,2).

Moje angielskie przeżycia przekonują mnie do trwania w zaangażowaniu dla Kościoła, oczywiście każdy według własnych sił i możliwości. Dziś jestem pewna, że warto trwać i warto żyć dla Kościoła. I nie martwię się o jego przyszłość. Pan kocha swój Kościół i nigdy go nie opuści. Chcę być robotnikiem Pana i ze szczerą wiarą mogę podkreślić słowa pieśni: „O, Panie, Boże, dzięki Ci, żeś mi Kościoła otwarł drzwi. W nim żyć, umierać pragnę.“

Paulina Wierzba

Nasza wiara

Zakazany owoc a kobieta

Ewa – matka wszystkich żyjących – miała moc. Po pierwsze miała odwagę zerwać owoc, co oznacza że odkryła prawdę. To jej pierwszej otworzyły się oczy.

Już od dawna ciekawiła mnie Księga Rodzaju, a konkretnie wyrzucenie Ewy i Adama z ogrodu Eden. Parę fragmentów często pojawiało się w rozmowach, które słyszałam pomiędzy starszymi, lecz szczególnie często padało zdanie, którym posługiwali się mężczyźni, mówiąc że „przecież Ewa skusiła Adama“. Zauważyłam, że spodobała im się ta księga, gdyż stanowiła usprawiedliwienie. Była ich jokersiem.

W pierwszym momencie uważałam to zdanie za niesamowicie niesprawiedliwe, ponieważ obarcza kobiety jakąś winą, za którą np. ja w moim młodym wieku 21 lat nie czuję odpowiedzialności. Zaś w drugim momencie pomyślałam – jak fajnie to zdanie brzmi i ile mocy się w nim kryje. Jednak może lepiej zacząć od początku.

Ewa skusiła Adama. Jeżeli mężczyźni od wieków uważają siebie za mocniejszych i lepszych, w jaki więc sposób taka mała nieistotna, wychodząca z boku Adama niewiasta potrafiła skusić człowieka „alpha“? I trafiło mnie. Ewa – matka wszystkich żyjących – miała moc.

Po pierwsze miała odwagę zerwać owoc, co oznacza że odkryła prawdę. To jej pierwszej otworzyły się oczy. I nawet jeżeli jej czyn był grzechem, to dzięki Ewie mamy dziś wolną wolę, żeby z całego ser-

ca wybrać Boga. W jaki sposób byśmy mieli wolną wolę do decydowania, gdybyśmy z natury byli za bardzo zastraszeni i grzeczni, żeby z naszej wolnej woli korzystać? Ktoś musiał zerwać owoc, a tym kimś była Ewa. I nawet jeżeli popełniła błąd, musiała mieć wielką odwagę. Wiele menedżerów mówi, że ważne są dobre decyzje, które zdobywa się poprzez doświadczenie, a doświadczenie zdobywa się poprzez popełnianie błędów. Wielu ludziom brakuje odwagi do ryzyka i nauki z błędów.

Po drugie Ewa dała owoc Adamowi, który bez wahania skosztował. Także Adam wiedział, że chodzi o zakazany owoc. W Piśmie nie jest napisane, że dopytywał Ewę. On po prostu zjadł. Wążył musiał na początku Ewę przekonywać, musiał jej wytłumaczyć, czemu zerwanie się opłaca. A Adam, który był pierwszy w ogrodzie Eden, dłużej wiedział o zabronionym drzewie i dłużej dojrzewał. Bez żadnej negocjacji wziął i zjadł owoc jak dziecko, któremu matka dała jeść. Jaką Ewa musiała mieć moc? Niesamowitą.

Zastanawiam się, czemu Bóg najpierw pyta Adama, gdzie jest. Może miał, jak każdy Ojciec, oczekiwania wobec jego syna. Tymczasem jego syn zjadł zakazany owoc. A gdy Adam usłyszał Boga, pewnie go trafiło. Pewnie zrozumiał, że popełnił błąd, lecz w oczach Boga nie chciał



być gorszym, więc najpierw go okłamał (czego Ewa nie zrobiła), a potem nawet nie miał sił przyznać się, że popełnił błąd i powiedział: „Niewiasta, którą postawiłeś przy mnie, dała mi owoc z tego drzewa i zjadłem”. Klasyczny przypadek zwaleni winy na drugą osobę. Mówią tak często dzieci: „Ale siostra mi powiedziała, że mam to zrobić”. I co wtedy każdy rodzic mówi? Standard: „A jeśli ci siostra powie, że masz zeskoczyć z 10. Piętra, to zrobisz to?”

I tu kryje się jak zawsze prozaiczna zagadka Starego Testamentu. Pytam, co tak naprawdę kryje się w tym tekście? W sposób bardzo niejasny kryje się element kobiecej mocy.

Ten element na pewno musiał być drzącą w oczach mężczyzn. Dlatego wydaje mi się, że mężczyźni, którzy pisali wtedy teksty Starego Testamentu, pewnie pomyśleli, że nie mogą pozwolić na to, by mężczyzna był w oczach wszystkich słabszy. Odkrywszy to, stwierdzili że trzeba w jakiś sposób zamaskować infantylnosć i naiwnosć Adama, a zwrócić bardziej uwagę na jego niewinność i krzywdę.

Myślę, że właśnie dlatego dużo mężczyźni źle interpretuje tę księgę, gdyż popadają w syndrom „synka mamusi”, który nie jest winny i któremu zawsze się dzieje krzywda. Boją się feministek lub silnych kobiet, przy których muszą wziąć odpowiedzialność za własne czyny; przy których Adam nie został „zwieziony”, lecz „DAŁ SIĘ zwieść”.

Na szczęście wiem, że istnieją inni mężczyźni, którzy są odważni i podejmują ryzyko, którzy w momencie upadku są zdolni do wzięcia odpowiedzialności za popełnione błędy.

Przyznam, że na początku denerwowały mnie te proste słowa „przecież Ewa zwiodła Adama”, lecz z czasem pomyślałam, że usprawiedliwienie, z którego korzystają niektórzy mężczyźni, jest dla kobiet stanowczą przewagą. Prawdziwie mężni ludzie, zarówno kobiety jak i mężczyźni, nie użyliby nawet takiego zdania.

Katrin

Od Red.: Nie podpisując się pod każdym zdaniem powyższego artykułu, zachęcamy PT. Czytelników do odniesienia się w Roku Miłosierdzia na naszych łamach do problemu wolności wyboru, odpowiedzialności za nie, grzechu i naszej przyjaźni ze Stwórcą, która jest możliwe tylko dlatego, że On tego chce.

Nasze Wspólnoty

Wieczornica z okazji Święta Niepodległości

Już po raz piąty odbyła się w Wiedniu wieczornica patriotyczno-muzyczna, zorganizowana z okazji Narodowego Święta Niepodległości. Pomysłodawczynią oraz kierowniczką projektu była Stella Styczeń, bardzo silnie zaangażowana w działalność przy Polskiej Misji Katolickiej w Wiedniu. Pieczę nad projektem i przebiegiem wieczoru sprawował ks. Krzysztof Kasperek, Rektor PMK w Wiedniu.

Wieczornicę rozpoczęło dwoje najmłodszych artystów: Wiktoria Jagiełło i Adam Rogal. Jest to już trzecie pokolenie, które bierze udział w tym pięknym spektaklu. Grupa muzyczna założona przez Krzysztofa Schauera wykonała pieśni patriotyczne z okresu walki o niepodległość Polski. Poezję i lirykę recytowała grupa młodzieży akademickiej studiująca w Wiedniu: Melania Hoys, Tomasz Klusek, Kinga Rak i Jakub Łęczycki.

Jakub zachwycił swoim głosem wszystkich przybyłych do Centrum Pastoralnego „Emaus”, w którym zabrakło miejsc siedzących dla wszystkich gości. Frekwencja była bardzo wysoka, co dla organizatorów jest wielkim komplem. Jakub Łęczycki, solista grupy muzycznej, jest studentem drugiego roku Konserwatorium Muzycznego w Wiedniu. Wróży mu wielką karierę i życzymy powodzenia.]

W wieczornicy patriotycznej zostały wykonane znane nam wszystkim dawne pieśni patriotyczne, takie jak „Warszawianka”, „Czerwone maki”, „Legiony” i wiele innych utworów muzycznych z okresu II wojny światowej.

Spektakl zakończono wspólnym odśpiewaniem „Marszu Polonia” i hymnu narodowego Polski.

Wieczornica jest jedynym tego rodzaju przedsięwzięciem Polonii Austriackiej, a liczba przybyłych gości świadczy o wielkim zainteresowaniu takimi projektami. W imieniu redakcji dziękuję organizatorom i wykonawcom za piękny wieczór, gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów na następne lata.

Barbara Kalczyńska



Jak przeżyć Triduum Paschalne w pełnym biegu i nie zwariować

Nie bez przyczyny niektórzy zwykli żartować, że najlepiej modlić się po łacinie, bo innych języków Bóg zaczął się uczyć po Soborze Watykańskim II.

Najdziwniejsze w życiu Triduum Paschalne, przynajmniej w tej jego części, w której podjęłam świadomą decyzję życia wiarą – przeżyłam rok temu. Nieoczekiwanie dla siebie musiałam podzielić je na etapy i spędzić w dwóch różnych miejscach.

Dla księdza profesora, który opiekuje się moją pracą, godzina 15.00 w Wielki Czwartek była najbardziej optymalną godziną na konsultację. I choć to normalny dzień pracy, największe zaskoczenie czekało mnie jednak, kiedy na te konsultacje dotarłam – „Możemy się tylko cieszyć z naszego spotkania, gdzie mam podpisać dokumenty?” Okazało się więc, że dla tej jednej kawy i jednego podpisu nie mogłam wyjechać z Wiednia. Bardzo radosnym akcentem spotkania było jednak pytanie, czy nie chciałabym wygłosić kazania w jednym z tutejszych klasztorów. Oczywiście obiecałam, że jeśli kiedyś dostanę więcej niż godzinę na przygotowanie, podejmę się. Brzmi może jak żart, ale mam podstawy sądzić, że pytanie było jak najbardziej serio – kilkakrotnie uczestniczyłam w Mszach, gdzie komentarz do słowa Bożego głosiła kobieta. I wiem, wiem, oburzę wielu – były to świetnie przygotowane „kazania”, leczące Słowo Boże z do bólu konkretną praktyką życia.

Sporo bieżączki było w ten czwartek. Z domu do profesora, od profesora do domu, z domu do kościoła... Mnóstwo godzin w metrze i autobusach.

Nawet nasz ambitny prywatny plan świętowania Dnia Kapłaństwa Powszechnego rozmył się i to dosłownie. W bardzo

eleganckim stroju, z powodu ulewnego deszczu, który przemoczył nam wszystko, zamiast na zaplanowany obiad w restauracji, dotarliśmy na jakąś chińszczyznę w centrum handlowym. Liturgii na Rennweg nie można było odmówić piękna i dobrego przygotowania. I chyba dopiero to był moment dnia, gdzie przez chwilę poczułam, że coś jest inaczej niż zwykle. Pracując, na Triduum brałam wolne. A tym razem była normalna gonitwa za rzeczami mało istotnymi, choć niebagatelnie ważnymi.

Z Wielkim Czwartkiem wiąże się jeszcze jedna anegdota: siedząca obok mnie Słowaczka, zapytała co znaczy słowo „potęga” – swoją drogą bywa na Rennweg regularnie i dlaczego akurat wtedy wydało jej się to dziwne – nie wiem... Próbowałam na szybko znaleźć niemieckie wytłumaczenie, używając słów najbliższej oddających znaczenie... Kiedy zaproponowałam „siłę, ale coś więcej...” spytała całkiem poważnie: „Turbosila?” Do końca liturgii siedziałyśmy uśmiechnięte. Ta właśnie anegdota stała się podstawą życzeń, które tradycyjnie, raz w roku ślę do wszystkich znanych mi księży.

Po powrocie do domu, zamiast uroczystej kolacji, czekało nas poprawianie, drukowanie, kopiowanie. Dokumenty musiały być gotowe na Wielki Piątek. Ten dzień zaczął się mniej intensywnie – wystąpiłam swoje w kolejce do spowiedzi. Pierwszy albo drugi raz w życiu. Nie, nie dlatego że nie słyszałam prośby o nieodkładaniu spowiedzi na później. Myślę, że powinno się dodawać prośbę o „niegrzeszenie na ostatnią chwilę”, to

dla tych, którzy korzystają z sakramentu częściej niż dwa razy w roku... Tak, one i oni też muszą czasem ustawić się w pokutnej kolejce. Nie ma zmiłuj. Licho nie śpi, mawiał mój dziadek. Później jeszcze oddanie dokumentów i pakowanie. Wielkopiątkowy wieczór był nieco spokojniejszy. Zabrakło mi jednak dobrego słowa, więc wysłuchałam dominikańskiego kazania sprzed kilku lat, które w poznańskim kościele przeżywało serce swoją głębią.

W sobotę trzeba było już wyruszyć w drogę. Jediną możliwością, by przed wieloma stresami, które mnie czekały nabrać trochę sił, był wyjazd na Słowację do zaprzyjaźnionej rodziny. I tak z kilkumilionowego miasta znalazłam się w małej wiosce u podnóża Tatr. Zamiast pięknej liturgii, była taka trochę bardziej uroczysta. Inaczej się po prostu nie da, w kościele filialnym, gdzie ludzi zaledwie garstka. W języku, który znam tak, by komunikować się w codziennych sprawach, wliczając w to kilka podstawowych modlitw. Z żalem uświadomiłam sobie, że Te Deum na pewno nie będzie po łacinie choćby... Świętowanie w niedzielny poranek było piękne, rodzinne, nie dało się nie zauważyć, że dzień jest szczególny. Bo tego właśnie brakowało mi w Wiedniu. Niestety, nie byłam jedyną osobą, która pędziła przez dwa dni... Chodząc po ulicach miało się wrażenie, że dzień jest jak co dzień. Jakże odmienne było to doświadczenie od tej chwili, której doświadczyłam spędzając Triduum w klasztorze. Oczywiście męskim. Była nas może 20, może 30. Niektóre z zawartych tam znajomości pięć lat później są nadal świeże, choć każdy z naszej siódemki obojga płci, pochodził z innej części Polski, nasz wiek wahał się wtedy od 19 do 55 lat. Potrafiliśmy spędzić radosne chwile razem. Nie mamy wątpliwości, że połączyła nas Królowa Aniołów, patronka tamtejszego



kościół. Tylko ona może bezboleśnie spoić Wielkopolankę z Warszawiakiem, Ślązaka z kobietą ze wschodu....

W 2015 mieszały się mi za to trzy języki Triduum – dwa użyte w liturgii i jeden, by omówić kazanie. Mnie się mieszały, ale jakie to cudowne, że Pan Bóg ogarnia, nawet jeśli w każdej godzinie gdzieś na kuli ziemskiej sprawowana jest Eucharystia. Nie bez przyczyny niektórzy zwykli żartować, że najlepiej modlić się po łacinie, bo innych języków Bóg zaczął się uczyć po Soborze Watykańskim II.

Nie zwariowałam. (chyba). Cieszyłam się każdą chwilą, która była bardziej uroczystą czy radośniejszą niż codzienność...

Kiedy jednak wspominam ubiegłoroczne wydarzenia, zadaje sobie nieco inne pytanie: czego mnie nauczyło to Triduum? Tego, że święta będą wtedy, czy ja umyję przed nimi okna czy nie? Tego, że to nieprzygotowanie jedzenia i zmęczenie tymi przygotowaniami stanowi o świąteczności dnia? (Przeżyłam już wyjeżdżając do klasztoru). Tego, że jestem dość wybredna w poszukiwaniu duchowej strawy? (To akurat wiem i bez tego doświadczenia). Tego, że święta będą niezależnie od tego, w jakim miejscu kuli ziemskiej się znajdę i w jakim języku będę je przeżywać?

Otóż nie. Nauczyłam się tego, że On chce w mojej codzienności tej zagonionej, odmiennej od marzeń i wyobrażeń, nieprzystającej do schematów, za mnie, a nade wszystko we mnie, umrzeć i zmartwychwstać. Po to by tę codzienność uświęcić. Bo On jest ze mną nie tylko od święta. Obiecał to 2000 lat temu – i choć codziennie dostarczam mu powodów przeciwnych – nie zmienił zdania.

Tak, to były bardzo dobre święta.

Anna Maria Gacek



Nasza historia

Biuletyn – rok 1992

Oto biuletynowe zapiski z pierwszego roku rektorstwa ks. Herberta Sojki. Zwracają uwagę: spora liczba wydarzeń muzycznych i dość liczne zmiany personalne. To także czas wprowadzenia Mszy wieczornej o 20:15, a to z powodu niemalejącej liczby wiernych, przybywających na Rennweg. Historia kołem się toczy. Nowy ówczesnie Prowincjał – ks. Kazimierz Wójtowicz – pracował wiele lat w Wiedniu, a rekolekcjonista wielkopostny z tegoż roku dziś duszpasterzuje w dzielnicy Alterlaa.

- **3.01. – rektorem PMK zostaje ks. Herbert Sojka CR. Dotychczasowy – ks. Jan Mazurek CR – zostaje proboszczem wiedeńskiej parafii St. Othmar.**
- **25.01. – zabawa karnawałowa w Emaus.**
- **01.02. – harcerski karnawał.**
- **16.02. – Msza św. dziękczynna za lata pracy ks. Jana Mazurka na Rennwegu.**
- **01.03. – występ zespołu „Verbum” z Bytomia.**
- **05.03. – koncert organowy Wacława Golonki z Krakowa.**
- **05.-12.04. – rekolekcje wielkopostne głosi ks. Marek Perzyński CR.**
- **25.04. – występ orkiestry symfonicznej ze Stanów Zjednoczonych.**
- **08.05. – początek wizytacji generalnej (o. Tadeusz Kaszuba CR).**
- **17.05. – koncert organowy Elisabeth Beniczki.**
- **24.05. – przedstawienie Młodych Rycerzy Niepokalanej o objawieniach Matki Bożej w Fatimie.**
- **31.05. – koncert organowy Yuko Nishida z Japonii.**
- **13.06. – występ zespołu tanecznego „Młode Podgórze” w Emaus.**
- **14.06. – koncert organowy Jana Kolasińskiego.**

- **28.06. – koncert organowy Andrzeja Ginko.**
- **30.06. – ks. Mieczysław Czubaj CR odchodzi do pracy w duszpasterstwie Polaków w Górnej Austrii.**
- **05.07. – pierwsza Msza św. niedzielna o godz. 20:15, na początek tylko na okres wakacyjny.**
- **31.07. – przybywają na Rennweg nowi duszpasterze: ks. Krzysztof Kasperek CR i ks. Stanisław Stenka CR.**



- **09.08. – występ muzykującej rodziny Steczkowskich ze Stalowej Woli.**
- **01.09. – z Rennwegu odchodzi ks. Andrzej Skrzypczak CR – zostaje moderatorem parafii św. Łukasza w Wiedniu.**
- **20.09. – Mszy św. odpustowej przewodniczy Prowincjał ks. Kazimierz Wójtowicz CR.**
- **18.10. – jubileuszowa (dziesięciolecie) pielgrzymka do Maria Gugging.**
- **08.11. – Msza św. w intencji Ojczyzny z udziałem przedstawicieli Ambasady RP.**
- **21.11. – wieczór muzyki góralskiej w Emaus.**
- **05.12. – spotkanie dzieci z św. Mikołajem.**
- **08.12. – akademie maryjna przygotowana przez Młodych Rycerzy Niepokalanej.**
- **13.-20.12 – rekolekcje adwentowe głosi ks. Kazimierz Sawościanik CR.**
- **24.12. – wigilia dla samotnych.**
- **29.-31.12. – nabożeństwo adoracji Najśw. Sakramentu.**
- **31.12. – zabawa sylwestrowa w Emaus.**
- **Kancelaria działała we wtorki, środy i czwartki po Mszy wieczornej (do 20:30), w środy i piątki od 9 do 12, a także w czwartki od 15 do 17.**
- **Pojawiły się godziny rektorskie – możliwość spotkania z księdzem rektorem – we wtorki (17-18) i piątki (10-11).**

(Wybrał: ks. MG)

Ostrożnie z tą solą, czyli o nieobecności ojca w życiu

Nie ma nic bardziej niemęskiego niż przekonanie, że nie jest się w stanie stworzyć dzieciom domu.

Kiedy w katolickiej prasie czytam o tym, że tylko kobieta umiejętnie tworzy dom, trafia mnie szlag. Dlaczego? Bo powtarzanie tego w kółko Macieju, sprawiło, że pokolenie mojego ojca było w stanie w tę bzdurę uwierzyć i poczuło się radośnie zwolnione z tego, by tworzyć dom. Jesteśmy pokoleniem nieobecnych ojców. Niekoniecznie tych, którzy w kościelnej narracji zwykle są zapracowani, w przeciwieństwie do troskliwych kobiet. Poruszający, cikiwy bełkot oparty na wzorcach sprzed setek lat.

Ojcowie byli nieobecni w życiu moich znajomych i przyjaciół. Jedni pili, inni wymigiwali się od spędzania czasu z dziećmi, uznając to za babską sprawę, jeszcze inni wyjeżdżali na długie delegacje albo uważali, że dzieci przypilnują się same. Kiedy czytam krytykę „feministycznego” (cokolwiek to według autora artykułu oznacza – nikt tak głośno jak feministki nie protestuje przeciwko różowemu i niebieskiemu jako kolorach dopisanych do ról płciowych) porządku świata, myślę sobie, że właśnie nieobecni tatusiowie tworzą podwaliny tej konstrukcji. Skoro w zasięgu wzroku kobiety nie ma mężczyzny, bo ten ojcostwo traktuje jak zajęcie na sobotę, musi sobie radzić sama. I radzi sobie, jak Pan słusznie zauważa, doskonale. Bo ktoś te pustkę po nieobecnym ojcu wypełnić musi, aby ująć rzecz kulinarnie – czymś się nasycić. Soli używano kiedyś do tego, by potrawy konserwować, by się nie psuły. To bardzo cenna właściwość.

W narrację o tym, że tylko kobieta potrafi stworzyć dom, uwierzył także mój ojciec. Efekt był mizerny. Po śmierci mamy zostaliśmy zostawieni sami sobie, bo przecież zajmowanie się dziećmi jest niemęskie, a domu mężczyzna nie stworzy. I to kobieta jest odpowiedzialna za dzieci. Z dziećmi to już

w ogóle można rozmawiać jedynie po męsku – poinformować, że odziedziczyły nieruchomości (o zgrozo, miałam wtedy 7 lat i nie bardzo rozumiałam, co się dzieje). Ach, zapomniiałabym, mężczyzna o emocjach nie rozmawia, bo to cecha mięczaka. Dlatego po 22 latach od jej śmierci temat nie pojawił się nigdy. Wspomnienia były rzeczowe: nic mi nie zapisała! Nie pójde na cmentarz. Och, tak, może z wyjątkiem 1 listopada, bo wypada. Jakaś zwierzcha więc bywa ta sól.

A skoro mężczyzna nie umie stworzyć domu, to pojawiła się druga, trzecia, czwarta żona... Chyba. Do dziś nie jesteśmy pewni, czy nie przeoczyliśmy jakiegoś formalnego związku. Tych nieformalnych nie liczyliśmy. Kobieta miała służyć do tego, by ten dom (nieswoim!) dzieciom budować (czytaj: prać, sprzątać, prasować). Patrzyliśmy więc na to, dorastając, mając najpierw kilka, potem kilkanaście lat. Mężczyzna wszak domu nie stworzy, więc po co go do tej roli przygotowywać? Właśnie po to, by nie rozsypały się fundamenty i aby, kiedy trzeba, odwołał się do własnych „domotwórczych” umiejętności.

Znam to brzydkie słowo na „p”. Niechętnie go używam. Dlaczego? Bo patrząc sobie na to wszystko mój nastoletni brat kilka miesięcy przed ślubem martwi się tym, czy nie popełni błędów ojca, czy się im uda... Jego pochodząca z wzorcowej rodziny przyszła żona ma tylko jeden problem: sukienka. I nie bardzo wiem, co jest bardziej patologiczne.

Powie Pan, że to wyjątek, patologia, taki człowiek. Może. Gwarantuję Panu, że większość moich znajomych, wszyscy z wykształceniem wyższym, wyładowała na fotelach terapeutycznych właśnie przez to, że ich ojcowie

uwierzyli, że mają stać w cieniu. Kiedyś nasi „tatusiowie” pewnie trafią do domu opieki. A my będziemy, podobnie jak oni, nieobecni, ot, taką solą będziemy, opłacając rachunek, choć będzie to i tak akt miłosierdzia, bo damy im więcej niż oni nam kiedykolwiek.

Podobnie jak Pan uważam, że męskie wzorce, o których Pan pisze, są konieczne. Tak, to mężczyzna ma bronić i chronić. Niemniej jednak nie ma nic bardziej niemęskiego niż przekonanie, że nie jest się w stanie stworzyć dzieciom domu. Nie potrzebuję do tego sfeminizowanego porządku świata. Wystarczy mi ten, w którym dorastałam, będąc jedyną kobietą wśród trzech mężczyzn. Porządek w pokoju to nie wszystko, gwarantuję Panu.

Autorka znana redakcji

Odpowiedź na artykuł Tadeusza Poręby „Mój ojciec. Męska rzecz”



Ojcie nasz – któryś jest w niebie

Za każdym razem, gdy uśmiechniemy się do kogoś lub gdy podajemy pomocną dłoń, czynimy to również dla Boga mieszkającego w każdym z nas.

chcieli już niczego innego. Dalej Katechizm Kościoła Katolickiego mówi nam: „Życ w niebie oznacza być z Chrystusem (por. J 14,3; Flp 1,23; 1 Tes 4,17). Wybrani żyją w Nim, ale zachowują i – co więcej – odnajdują tam swoją prawdziwą tożsamość, swoje własne imię (por. Ap 2,17)”. Czyż nie tego szukamy również w życiu? Odnalezienia swojej tożsamości, tego, kim jesteśmy. U Boga wszystko nabiera sensu.

Nie jesteśmy w stanie ogarnąć tego, czym jest niebo. Również Pismo Święte mówi nam o tym: „To, czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2,9). Możemy być pewni, że będziemy tam tysiąc razy bardziej szczęśliwi niż tu na ziemi. Musimy zaufać Panu, On wie, co jest dla nas najlepsze. Nawet jeśli nie potrafimy wyobrazić sobie tego wszystkiego, Boga czy aniołów, lub pojąć wieczności.

Ale czy to oznacza, że Bóg jest gdzieś tam daleko w niebie, a my żyjemy sobie tu na ziemi? Nie – rzeczywistości nieba i ziemi przenikają się. Przecież niedawno obchodziliśmy przyjście Nieba na świat. Jezus Chrystus narodził się jako jeden z nas, jako człowiek tutaj na ziemi. Żył tutaj, działał cuda, a w końcu umarł za nas i zmartwychwstał. On przyniósł nam Niebo na ziemię. To oznacza, że ziemia jest przeniknięta Nim, Jego obecnością. Jest przeniknięta niebem.

Za każdym razem, gdy uśmiechniemy się do kogoś lub gdy podajemy pomocną dłoń, czynimy to również dla Boga mieszkającego w każdym z nas. A tam, gdzie dostrzegamy Boga, tam, gdzie po-

zwaliśmy Mu działać, możemy doświadczyć kawałka Nieba. Również modlitwa, a szczególnie Eucharystia, jest momentem, kiedy Niebo przychodzi do nas. Jezus daje nam siebie pod postacią chleba i wina, abyśmy spożywając Go, przybliżali się coraz bardziej do Niego, czyli do przebywania z Nim w niebie. Przyjmując Go, przyjmujemy Niebo. Myślę, że w tym momencie szczególnie doświadczamy nieba i jednoczymy się z Bogiem w wyjątkowy sposób – tak blisko, tak osobście i intymnie jak nigdzie indziej. Także wstawiennictwo świętych, czyli tych, którzy już są w niebie, pokazuje nam, jak bardzo niebo i ziemia są ze sobą połączone, jak się wzajemnie przenikają.

Gdy następnym razem będziemy wypowiadać słowa modlitwy *Ojcie Nasz* „któryś jest niebie”, pomyślimy o tym, że nasz Ojciec, który jest niebie, nie jest gdzieś daleko, ale jest tuż obok nas, bliżej niż myślimy i chce już tu na ziemi przybliżyć nam niebo swoją obecnością, abyśmy dążąc do Niego, mogli po śmierci cieszyć się najprawdziwszym szczęściem – Nim – w niebie.

Basia Majcher



Słowa modlitwy *Ojcie nasz* „któryś jest w niebie” skłaniają nas do myślenia o miejscu, gdzie przebywa nasz Bóg. Niebo. Większości automatycznie pojawiają się obrazy z kreskówek czy filmów. Starzec przechadzający się po białych, puszystych obłokach, w tle widać błękitne niebo, a wokół fruwały aniołki.

Ale czy tak wygląda niebo? Czy takie niebo mogłoby nas uszczęśliwić? Wątpię w to. Niebo to miejsce, w którym jest Bóg. A tam, gdzie jest Bóg, jest prawdziwa miłość, prawdziwe szczęście, piękno, radość, dobroć – wszystko to, do czego dążymy i czego potrzebujemy. Niebo jest spełnieniem naszego najgłębszego pragnienia szczęścia – tylko dlatego, że On tam jest. Oglądając Go „takim, jakim jest” (1 J 3,2), twarzą w twarz (por. 1 Kor 13,12; Ap 22,4)*, nie będziemy

* KKK 1023

** KKK 1025

Ojciec nasz – któryś jest w niebie



Nawiązując króciutko tylko do mojego poprzedniego tekstu z numeru 455, w którym wyraziłem swoją asympatię wobec ruchu feministycznego, chciałbym nadmienić, iż wizja nieba, jaką ogólnie od dawna znamy, opisuje w zasadzie niebo stworzone tylko i wyłącznie dla kobiet. Tam jest wszystko, co uwielbiają kobiety, ale nie ma nic fajnego dla mężczyzn. Oto będziemy tam bowiem w białych szatach boso stąpać po pachnących umajonych łąkach, trzymając się za rączki, będziemy tam całymi dniami razem w godnych chórach śpiewać radosne pieśni. Wieczorami będziemy podziwiać zachody słońca, słuchając cykających pasikoników, a potem rankiem będziemy tańczyć po rosie na bosaka. Jakie to okropne....

Natomiast nie ma tam nic porządnego dla mężczyzn. Nie będzie tam ani jazdy autem 160 km/h w terenie zabudowanym, ani boksu (a ja tak bardzo lubię patrzeć, jak Kliczko się bije), nie będzie można iść sobie na strzelnicę, by postrzelać z pistoletu Glock, bo broń w niebie jest kategorycznie zakazana. Nie będzie ani kopania puszek z piwa po ulicy, ani wypowiedania brzydkich słów. Nie będzie można zagwizdać sobie „fju fju”, kiedy ulicą przejdzie fajna dziewczyna, a żona nie będzie nas upominać „gdzie się tak gapisz”. Tam nic fajnego dla chłopaka nie będzie i do takiego nieba wcale mi się nie spieszy. Więc pytam się najpoważniej w świecie, po co mi żyć wiecznie w takim zniewieściałym niebie? Ale dajmy temu spokój, bo zaczynam już zgolać zupełnie inną ważniejszą opowieść.

Dawniej, bardzo dawno temu o wiele łatwiej było wierzyć w niebo. Niebo było tam na górze nad naszymi głowami i było niebieskie tak, jak jest to nasze niebo nad naszymi głowami. Teraz kiedy nowoczesne sputniki swoimi kamerami stwierdziły, iż Bóg tam nie mieszka, pojawiają się wątpliwości czy to upragnione niebo w ogóle istnieje, i jeśli istnieje, to gdzie?

Że niebo istnieje my katolicy, wierzymy

w to mniej więcej jako tako. Ale gdzie ono właściwie jest? I czy w tej chwili już gdzieś jest, czy też raczej pojawi się ono dopiero potem, po tej drugiej stronie naszego istnienia? Można pomyśleć sobie tak: raj Adama i Ewy w zasadzie był niebem tu na ziemi, więc można uważać że niebo jest, czy też raczej było wtedy też tu na ziemi. I właśnie tym tropem sobie pójść.

Według mnie niebo jest tu, ale my w spółce z Adamem i Ewą zmieniliśmy owo niebo w piekło. Adam i Ewa mają na swoim sumieniu sprawki dla nas niezrozumiałe, psujące nasze pojmowanie nieba. Na przykład: auto uderza w drzewo i jest nieszczęście, albo potykamy się i łamiemy sobie piętę, podobnie jak żona mojego przyjaciela postawiła sobie nogę na schodach, a ta się rozleciała na wióry. Potem musieli ją całą powiązać drutami, żeby się zagoiła (to znaczy nie ją całą związali, ale tylko samą jej piętę). Na to nie mamy żadnego wpływu, więc też porzucmy ten wątek, bo to jest temat na zupełnie inny tekst.

Wobec tego interesuje mnie nasz własny wkład w psucie świata tak, by nasz raj tu na ziemi przypominał zupełnie inne miejsce niż to niebo w którym mieszka Bóg. To jest bardzo ważne, ponieważ o ile nie jesteśmy w stanie naprawić grzechów Adama i Ewy, o tyle mamy natomiast realny wpływ na budowanie nieba tu, a raczej na to mamy wpływ, żeby tego co pozostało jeszcze po raju nie psuć bardziej. A my właśnie tak robimy, psujemy.

Generalnie ludzie psują sobie życie, kiedy nadarzy się tylko ku temu okazja tak, jakby to miało być jakie hobby albo co. W większości ludzie zajmują się psuciem swojego świata tak, żeby te resztki raju piorunem zamienić w nic. O tym, że skaczymy sobie nawzajem do oczu, pisał nie będę, i o tym jak przypiekać drugiemu bezinteresownie po to, żeby wiedział, też nie. To psucie raju zobrazuję tylko dwoma przykładami. Pierwszy to urlopy, drugi to nasze domy, ponieważ obrazują piekło finansowe czyli życie po-

nad stan. Tak, życie ponad stan jest złe i najczęściej bywa piekłem.

Najpierw domy. Mieszkanie własnościowe w Wiedniu kosztuje tak około 300 KEUR (KEUR jest kilo euro i oznacza 300.000 EUR). Natomiast dom byle gdzie kosztuje minimum 500 KEUR. Ludzie nie mający na koncie nic (są zdania, że należy przejadać piorunem wszystkie zarobione pieniądze, jakby miały zęby i gryzły, albo się psuły) fundują sobie willę za kredyt, który muszą spłacać pół wieku i który ciąży im na karku te same pół wieku. Samo spłacanie takiego kredytu jest już czyścem, a gdy się noga powinie i zwolni z pracy, albo nie daj Boże jaka choroba się przypląta, to życie staje się już piekłem i cały raj idzie w ką. Oni kupują sobie potem do tych domów na kredyt stoły z pełnego drewna za bajorkie sumy, jakby zupa grochowa czy kotlet schabowy gorzej smakował na stole z paździerza z Ikei za 200 EUR. Chociaż korzystniej jest kupić sobie ładny obrus i nim przykryć stół – wtedy wszystko jedno ile kosztował bo i tak go nie widać. To samo tyczy się parkietów z drewna orzechowego, jakby panele za 50 EUR nie wystarczyły do chodzenia. A o meblach masywnych i innych nikomu w domu niepotrzebnych rzeczach wspominać nie będę. Wszystko w porządku jeśli ma się na to kasę, ale na kredyt? Po to, by w sobotę i niedzielę całe życie pracować od rana do wieczora na „fuchach”, by spłacić raty kredytowe? I tak przez 50 lat? I to ma być niebo na ziemi, które sami sobie fundujemy? Panowie, to nie jest fajne niebo.

A po tych 50 latach harówki okazuje się, że nasz wspałały kredyt na 5% kosztował w końcu 150 KEUR i tyle nam brakować będzie na starość, kiedy będziemy potrzebować każdego grosza. Są w internecie kalkulatory kredytów i proszę sobie samemu policzyć. Pożyczysz 400 KEUR, oddasz 550 KEUR.

Z innej beczki: wydatki dotyczące samochodów oceniam w naszej Polonii austriackiej raczej pozytywnie, ponieważ

jak zauważyłem przed kościołem na Renne-
wegu, bractwo jeździ raczej oszczędny-
mi modelami. Jednak niestety są to same
diesle, czego nie pochwalam, ponieważ
ani jednego benzyniaka nie widziałem. To
jest przecież silnik od traktora, z dynami-
ką traktora ciągnącego za sobą pług sze-
ściokobowy. Nawet za komunizmu Ru-
scy mieli ciężarówki marki ZIL napędzane
benzyną. A w Tokio, gdy byłem tam się
ostatnio bić w karate, to wszystko brac-
two jeździło na benzynie, wszystkie tak-
sówki naturalnie też. Nie mogę pojąć, jak
można jeździć dieslem? Różnica między
silnikami jest taka, jak między niebem
a piekłem. A o kopających dieslach VW
nawet nie wspomnę, ze względu na moją
wrodzoną empatię. To oszczędzanie na
autach nie zawsze można pochwalić, bo
dobra fura jest zawsze dobra. Nie wiem,
czy to nie jest oszczędność typu „zapałka
na cztery części, a litr wódki naraz”. Prze-
sady nie lubię, ale uważam skromnie, że
każdy facet ma prawo posiadać taką piąt-
kę BMW średniej klasy. Benzyna oczywi-
ście. Tu bym nie oszczędzał aż tyle.

I urlopy. To są najgłupiej stracone pienią-
dze, przez które będziemy musieli oddać
się w niewolę pracy jakiemuś chciwco-
wi z grubym portfelem i służyć mu mil-
cząc, ponieważ może on nas zwolnić
i nie będzie jak spłacić kredytu zacią-
gniętego na dom i urlop. Sam osobiście
nie wyobrażam sobie jechać na urlop za
pożyczone pieniądze, gdyż sama myśl
o kredycie zabrałaby mi tę całą wątpliwą
przyjemność. Istnieją jednak ludzie bez-
myślni, którzy biorą kredyt też na urlop.
Okropieństwo!

Urlop w dzisiejszej formie wymyślili an-
gielscy bogacze sto lat temu, gdy w cza-
sach industrializacji robotnikom pozosta-
wało troszkę grosza w kieszeni. Wtedy
sprytni bogacze wymyślili sposób, by
zabrać tym biedakom to, co im zbywa.
Samo słowo urlop, jak wiemy, pochodzi
od niemieckiego Urlaub i sięga czasów
feudalnego średniowiecza. Wtedy pod-
dany prosił wasala o urlop, by udać się
na wojnę, ponieważ życie codzienne
było bardzo nudne i monotonne. W dzi-
siejszych czasach wojaczka też jest faj-
ną rozrywką i znudzeni wojownicy nadal
walczą po różnych frontach tak dla roz-
rywki jak i pieniędzy. Zwiemy ich najem-
nikami. Tacy ludzie dzisiaj też są, ale to
jest temat na inny tekst.

Urlop sam w sobie oprócz tego że kosztu-
je mnóstwo pieniędzy, jest ponadto
czystą stratą czasu, nie dającą nic w za-
mian – po dwóch tygodniach urlopiu
czujemy się potem gorzej niż przedtem.
Jedziemy do Egiptu i mieszkamy w obo-

zie (niby hotelu), w którym dają dużo
jeść, podziwiamy sobie słońce, piasek
i krystaliczną wodę. Rok później jedzie-
my w zupełnie inne uroczne miejsce, do
Tunezji i podziwiamy tam dla odmia-
ny słońce, piasek i wodę. Potem znów
do Turcji do hotelu otoczonego drutami,
poza którymi grozi nam śmiertelne nie-
bezpieczeństwo. Więc nie wystawiamy
nosa poza nie i śpimy grzecznie dwa
tygodnie na naszej pięciogwiazdkowej
pryczy, podziwiając tym razem słońce,
piasek i wodę. No, same rozmaite atrak-
cje za mnóstwo pieniędzy. A już najgor-
sze są te pourlopowe opowieści o tym,
gdzie się to nie było i co się tam nie wi-
działo, i jaka tam nie była wspaniała
woda, piasek i słońce.

Wyliczyłem, że każdy urlop średnio
kosztuje nas ekwiwalent ośmiu godzin
pracy tygodniowo, by na to zarobić.
Więc rezygnując z urlopów, każdy tata
mógłby co drugi dzień spędzić ze swo-
imi dziećmi po dwie godziny. Ale nowo-
czesny tata przez całe 50 tygodni w roku
nie widzi na oczy swoich dzieci, bo musi
harować dzień i noc, soboty i niedziele
po to, by potem spać na urlopie na leża-
ku dwa tygodnie jak bóbr, a dzieci niech
się chlapią same w wodzie, byle tylko
go nie budziły. Ale z urlopu, do którego
wmanipulowali go angielscy chichwcy
nie zrezygnuję. To jest właśnie piekło nu-
mer dwa. A już najgorsze ze wszystkich
są te urlopy „all inclusive”, na których co-
dziennie rano, już o dziewiątej, jest się
prześniętym alkoholem jak ten pet
papierosowy na podłodze w publicznej
toaletcie. No, sama wspaniała atrakcja
i wspomnienia są potem, że hoho...

W niebie nie ma ani kredytów ani urlo-
pów, bo kto potrzebowałby urlop w nie-
bie. Zresztą – po co i gdzie miałby stam-
tąd wyjechać? Do piekła?

Według mnie, niebo jest tu, przynaj-
mniej jego namiastka jest. Ale nawet
tę małą szczyptę nieba zamieniamy
sobie sami własnowolnie w piekło. Bo
cierpimy.

I to też jest inny temat na inny tekst, gdy
idzie o cierpienie. Nie jest to aż takie pro-
ste, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.
Otóż jest cierpienie ewidentne bez sen-
su złe i tu nie ma co debatować, bo i tak
nic nie wiadomo. Istnieje natomiast cier-
pienie, które nie zabija ale wzmacnia. Na
przykład niezdany egzamin mobilizuje
do nauki. Istnieje potem jeszcze rodzaj
bardzo dziwnego według mnie cierpie-
nia, którego skutkiem jest dobro osiągal-
ne właśnie wyłącznie drogą cierpienia.
Jeśli chcesz mieć muskuły i kaloryfer na
brzuchu to musisz pocierpieć na siłow-

- **13.01.2016 – katecheza filmowa dla mężczyzn (Emaus)**
- **16.01.2016 – spotkanie opłatkowe Oazy, ministrantów i Rycerzy Niepokalanej (Emaus)**
- **23.01.2016 – zabawa karnawałowa Oazy, Ministrantów i Rycerzy Niepokalanej (Emaus)**
- **23.01., 24.01.2016 – koncert kolęd chóru „Gaudete”**
- **23.01.2016 – początek kursu przedmałżeńskiego (kolejne spotkania: 30.01., 06.02., 13.02., 20.02.2016)**
- **30.01.2016 – wspólne kolędowanie, organizacja: Żywy Różaniec i Górale + opłatek dla wszystkich.**
- **10.02.2016 – Popielec – początek Wielkiego Postu – Msze św. o 8, 9, 17, 18 i 19.**
- **12.02.2016 – Droga krzyżowa – w każdy piątek Wielkiego Postu: dla dzieci o godz. 17:30, dla dorosłych o 19:30**
- **12.02.2016 – „Wieczór Chwały” Wspólnoty „Galilea” (po drodze krzyżowej)**
- **14.02.2016 – w każdą niedzielę Wielkiego Postu dodatkowa Msza św. o godz. 16, a po niej Gorzkie Żale z kazaniem pasyjnym (głosi: ks. Leszek Nowiński).**

ni, pocić się i trenować, ponieważ tego nie da się kupić. Jeśli nie chcesz się bać zbójów na ulicy to musisz trenować jaki boks albo jeszcze lepiej karate u Marka i wtedy nie będziesz się bał bicia po tym, gdy sam dostaniesz na treningu wiele razy. Tego też nie da się kupić, trzeba iść, dostać i wiedzieć jak to jest i się więcej nie bać. Dziwne: czy w niebie będzie boks i karate? Ładujemy już powoli...

Oczywiście że nasz świat nie jest aż tak czarny, jak go tu namalowałem i przy-
znam, że nazmyślałem sporo, ale je-
śli mój tekst wywołał maleńki uśmiech
u jednego choćby czytelnika, to było
warto napisać, bowiem gdy spotkasz
człowieka byle gdzie na ulicy, a on po
spotkaniu z tobą odchodząc czuje się
szczęśliwszy niż przedtem, to uchyli-
łeś mu rąbka nieba. A z tych kawałków
może powstać obraz nieba całkiem na-
wet pełny. Obraz takiego prawdziwego
nieba, które jest wśród nas.

Tadek Poreba

Capelan robotników i czeladników

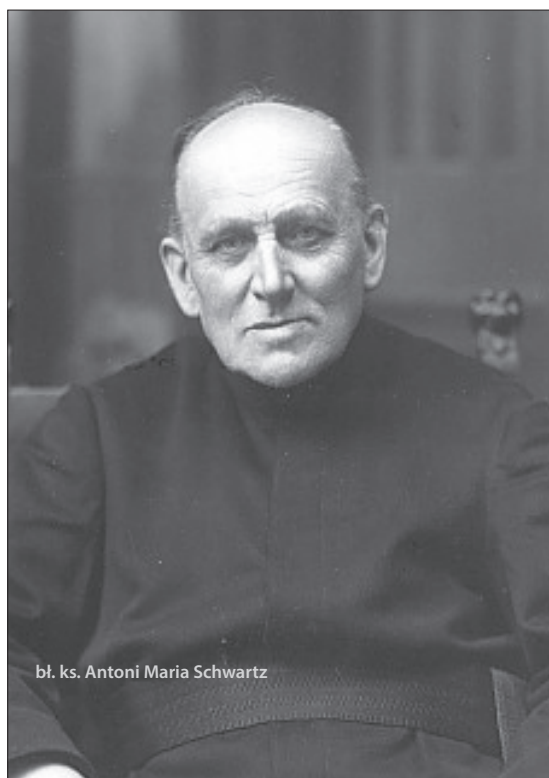
Ksiądz Antoni Maria Schwartz po rozmowie z chorym na zapalenie płuc młodzieńcem, który pyta go, dlaczego Kościół tak mało czyni dla przyszłych robotników i majstrów, odkrywa na nowo swoje powołanie i powierzoną misję.

„Felix Austria” – błogosławiona Austria Habsburgów nie tylko pozostawiła jako świętego cesarza Karola, ostatnią koronowaną głowę, ale również świętego kapłana, który za swój program i cel obrał sobie lepszy los uczniów na czeladników w Wiedniu. „Noster Pater”, nasz ojciec, z dumą mówią o nim dziś robotnicy i majstrowie. To właśnie jego zaangażowaniu zawdzięczamy niedzielę wolną od pracy. O to, co dzisiaj wydaje się nam normalne, wcześniej trzeba było zabiegać, walczyć i zmieniać to również wstawianiu samych robotników oraz ich pracodawców. Nasz święty potrafił przekonać ówczesny rząd oraz osoby wykształcone i wpływowe, aby wstawiały się za robotnikami, co w znacznym stopniu przyczyniło się do sukcesu jego misji.

Święty Antoni Maria Schwartz urodził się 28 lutego 1852 roku w miejscowości Baden na południu od Wiednia. Był czwartym synem z trzynastorga dzieci Józefy Katarzyny i Ludwika. Ojciec przyszłego świętego był urzędnikiem państwowym występującym również w badeńskim teatrze jako muzyk. Matka natomiast była zaradną Węgierką, która potrafiła również zadbać w rodzinie o religijne wychowanie potomstwa. Jako nastolatek Antonii wyróżniał się zainteresowaniem bożymi sprawami. Często po drodze ze szkoły wstępował do kościoła na krótką modlitwę, następnie przed rodzeństwem i rodzicami wygłaszał kazania według tekstów, które wcześniej przeczytał w świątyni.

Po ukończeniu szkoły podstawowej ojciec wysłał go do pobliskiej miejscowości Heiligenkreuz, gdzie pod okiem braci cystersów pobierał dalsze nauki oraz lekcje śpiewu. W roku 1865 przybywa do Wiednia, gdzie zamierza kontynuować naukę w szkole szkockiej (Schottenschule). Niestety w tym czasie umiera jego ojciec, co oznacza, że będzie musiał się zatroszczyć o swoje rodzeństwo i matkę. Jednak otrzymane stypendium umożliwia mu dalszą naukę. W tym ciężkim dla niego czasie ważna jest dla niego nie tylko wiedza, lecz również stan ducha. Ma stałego spowiednika i decyduje się wstąpić do nowicjatu księży pijarów. Ponieważ jednak szkoły pijarskie, ze względu na konflikt pomiędzy Watykanem a Cesarzem, w roku 1869 zostały zamknięte, za radą przełożonych opuszcza ten zakon i przechodzi do szkoły księży diecezjalnych, którzy pobierali nauki na Uniwersytecie Wiedeńskim, a mieszkali pod okiem biskupa na placu przy katedrze. Antoniego cechowała niezłomna wola bycia świętym, dlatego przyjmuje drugie imię, Maria, aby stawać się duchowo do niej podobny. Ciężka choroba sprawia, że jego święcenia kapłańskie stają pod znakiem zapytania. I chyba tylko ta, którą Chrystus daje jako matkę, szczególnie swym kapłanom, sprawia, że na czas święceń odzyskuje zdrowie i biskup Wiednia, Józef Othmar Ritter von Rauscher, namaszcza go do kapłańskiej posługi dnia 25 lipca 1875 roku.

Pierwszą i jedyną parafią młodego kapłana stało się miasteczko Marchegg w dolnej Austrii na zachód od Wiednia, przy dzisiejszej granicy ze Słowacją.



bl. ks. Antoni Maria Schwartz



cją. Pracując tam jako wikariusz, odświeżył i upiękosił wygląd kościoła oraz zlecił wykonanie nowego ołtarza, przed którym nie tylko wygłaszał płomienne kazania, ale również sprawował nabożeństwa ze szczególną, nie znaną wcześniej przez wiernych powagą i namaszczeniem. Był prawą ręką proboszcza w sprawowaniu liturgii świętej, ale również w sprawach urzędowych oraz w nauczaniu religii w szkole. Ksiądz Antonii Maria miał szczególne umiłowanie kultu świętych, dlatego wprowadził wśród uczniów zwyczaj świętowania imienin, czyli dnia swojego patrona. Nasz święty spotkał jednak wpływowe osoby, którym jego owocna praca i krytyka starych porządków zaczęła przeszkadzać. Jego przeciwnicy w osobach kierownika szkoły, inspektora szkół, burmistrza miasta oraz niektórych mieszczan sprawiła, że po czterech latach musiał opuścić parafię. Papież z Marchegg, jak go złośliwie nazywali przeciwnicy, zostaje przeniesiony do Wiednia, gdzie jako kapelan przy szpitalu sióstr miłosierdzia ma otaczać opieką duchową chorych i zakonnic tam pracujące. Jeszcze w czasie pobytu w parafii Marchegg umiera również jego matka. To wydarzenie jeszcze bardziej utwierdza jego powołanie i wyznaje, że największą wartością jest świętość, dlatego o nią wciąż zabiega i zabiegać będzie.

Ze względu na jego słabe zdrowie nowa posada okazała się dla niego łaską Bożą. Troskliwe siostry wyleczyły jego trwający od lat kaszel. On ze swej strony spełniał swoje obowiązki jako szpitalny kapelan bardzo sumiennie,

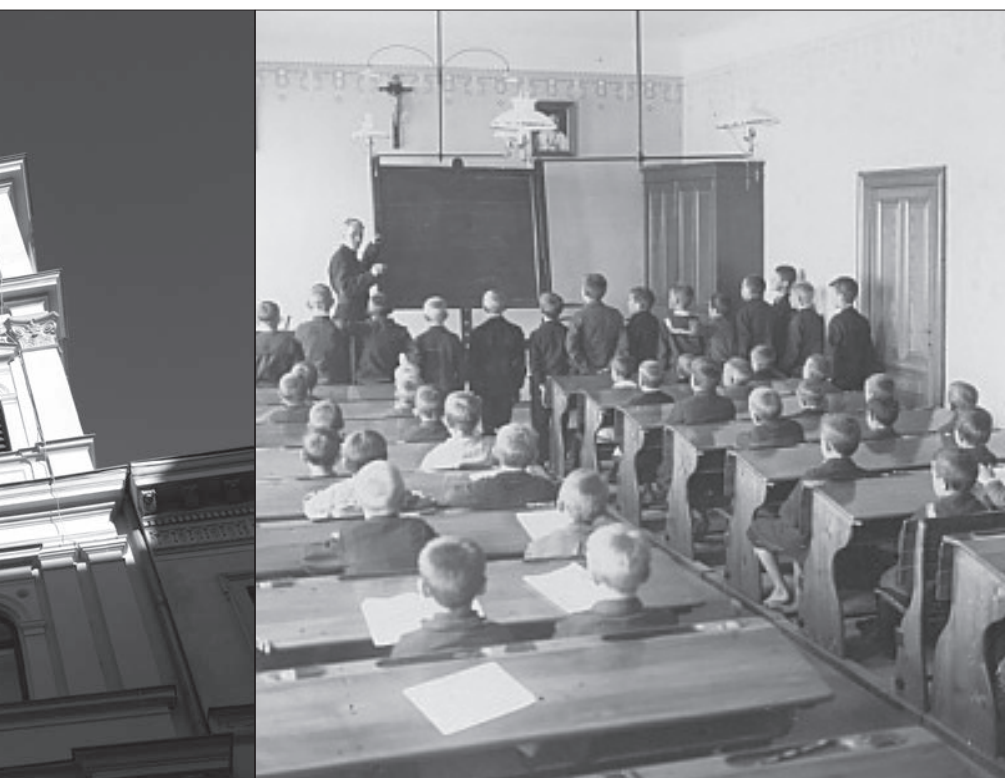
a nawet troszczył się o dalsze losy chorych, którzy często będąc bez środków do życia, potrzebowali dalszej pomocy. Osobiście wybrał się do sąsiedniego budynku, gdzie mieściła się szkoła czeladników, aby przyjęto byłego pacjenta. Tam odkrył, że warunki socjalne w tej placówce są po prostu katastrofalne. Dlatego porozmawiał z siostrą przełożoną, która zgodziła się zorganizować świetlicę na terenie szpitala dla chętnych uczniów. W tej placówce oprócz katechezy młodzi robotnicy otrzymywali doraźną pomoc, a nawet jedli wspólne śniadania. Ksiądz Antoni Maria Schwartz po rozmowie z chorym na zapalenie płuc młodzieńcem, który pyta go, dlaczego Kościół tak mało czyni dla przyszłych robotników i majstrów, odkrywa na nowo swoje powołanie i powierzona misję. Zostaje opiekunem duchowym młodych czeladników. Liczba spotkań i uczniów wciąż rośnie i młody kapłan z trudem łączy obowiązki kapelana i duszpasterza robotników. Byli to przeważnie ubodzy chłopcy przybywający do stolicy z prowincji, którym często trzeba było zapewnić dach nad głową i odpowiednie miejsce nauki i pracy. Ponieważ znalazła się osoba, która pokryła utrzymanie kapłana przez dwa lata, biskup zezwala na całkowite zaangażowanie się naszego świętego duszpasterstwem ubogich robotników. Również siostry miłosierdzia wsparły ten zamiar przekazując cały dom do dyspozycji nowego dzieła, które szybko znalazło zrozumienie wśród wielu katolickich majstrów i zaczęli czynnie je wspierać. W ten sposób w roku 1883 powstaje pierwszy w Au-

strii związek czeladników z cesarską aprobatą.

Nasz ojciec, jak go zaczęli nazywać robotnicy, wspierał dążenia robotnicze, uczestnicząc w protestach i strajkach oraz pisząc petycje w ich imieniu do rządu. Swoją postawą zgromadził osoby, które chciały podobnie jak on chciały wspierać młodych robotników, dlatego w roku 1889 zakłada męskie zgromadzenie zakonne pod nazwą Kongregacja Chrześcijańskich Robotników św. Józefa Kalasancjusza od Matki Bożej. Nowy zakon, oprócz domu rodzinnego i internatu, otwiera pierwszy robotniczy kościół Wiednia istniejący do dziś w 15. dzielnicy. Dzieło ustawicznie się rozwijało i, jak podawały ówczesne statystyki, było bardzo potrzebne. Tak więc gdy w roku 1889 znaleziono pracę 71 uczniom, w roku 1895 było ich już pod stałą opieką 139, a sama kongregacja liczyła sobie już ponad dwieście osób oraz prawie dwa tysiące sympatyków wspierających abonentem wydawany dwumiesięcznik wspólnoty. Swoim podopiecznym oprócz oratorium nasz święty zapewnił możliwość śpiewu w chórze oraz chętnie odwiedzane przez widzów, nawet z dworu cesarskiego, sztuki teatralne. W czasie pierwszej wojny światowej nie zaprzestano działalności, chociaż 32 osoby nie powróciły z frontu. W roku 1919 musi zmagać się już prawie 70 letni w wówczas Maria Antonii z osobami, które chciałyby rewolucyjnych zmian w kongregacji. Udaje mu się jednak, dzięki wsparciu kardynała Friedricha Gustawa Piffl, umacniać swoją pierwotną, konserwatywną, wizję wspólnoty i w 1926 r. otrzymuje papieską aprobatę swej konstytucji. Jednak on sam po ciężkiej chorobie dnia 15 września umiera. Jego kondukt żałobny staje się triumfalną manifestacją, w której bierze udział pięć tysięcy ludzi. Wszyscy ówczesni prominenści austriacy, zarówno kościoła, jak i rządu, byli obecni na jego pogrzebie. Młodzi robotnicy poprowadzili jego misję dalej. Nie przeszkodziła w tym II Wojna Światowa, działając do dziś, pokładając nadzieję w Panu, jak mawiał święty.

Antoni Maria Schwartz został beatyfikowany przez św. papieża Jana Pawła II w dniu 21 czerwca 1998 roku podczas Mszy Świętej odprawionej na Placu Bohaterów (Heldenplatz) wraz z siostrą Marią Restitutą i Jakubem Kernem.

Robert Kojro



Inni

Na Rennwegu przebywałem od września 1986 do sierpnia 1992 roku. Poniżej tryptyk o zdarzeniach z tego okresu.

Osoby, z którymi niekiedy miałem do czynienia na Rennwegu, byli inni od przeciętnych ludzi, stąd ciekawi i, mimo tragicznego losu, godni podziwu.

Wotum

Szedłem pozamykać drzwi po ostatniej niedzielnej mszy dla wiedeńskiej Polonii. Na trzeciej ławce leżało futro z norek. Rozbawił mnie ten widok: jak można było przy ujemnej temperaturze i zamieci śnieżnej o nim zapomnieć? Rozejrzałem się na wszelki wypadek: kościół był pusty. Zakluczwszy ciężkie wrota, usłyszałem młody, kobiecy głos: „Wypuści mnie ksiądz przez zakrystię?”. Stała bez butów na bocznym ołtarzu i dodawała do wiszących już tam od dziesięcioleci wotów różne kosztowności: pierścionki, złote łańcuszki, sznurki pereł i koraliki. Nie mogła uporać się z parą kolczyków, ciągle spadały. Zapytana o powód, wyjaśniła, że ofiaruje to wszystko, bo Bóg wysłuchał jej prośby. Speszona moim niezadowolonym wyrazem twarzy, przeprosiła za wejście na ołtarz – „Ale przecież tylko na chwilę i w rajstopach...”. Opowiedziałem o zdarzeniu przełożonemu. Wbrew jego sugestii zdjęłem przed chwilą pozawieszane wota. Musiało mu się to nie spodobać, bo kiedy w poniedziałek zadzwoniła do nas policja, prosząc o pomoc w skontaktowaniu się z pewną psychicznie chora kobietą, wysłał mnie. I miał rację. Okazało się, że od wczoraj rana bez przerwy płakało jej dwuletnie dziecko, co zaniepokoiło sąsiadów. Nie chciała otworzyć ani im, ani potem wezwanej policji, twierdząc, że wszystko w porządku, że choć dziś nie ma w domu męża, to pilnuje jej wierny pies, że tu nie ma żadnego dziecka. Oprócz kilku podstawowych zwrotów nie mówiła po niemiecku. Zresztą także we własnym języku nie potrafiłem się z nią dogadać. Policja ustaliła w tym czasie,

że jej mąż, kierowca ciężarówki, pojechał do Włoch i ma wrócić dopiero nazajutrz. Ze względu na małe dziecko podjęto decyzję o wyłamaniu drzwi, o co poproszono strażaków. Błagałem ją, żeby otworzyła drzwi, a policję o cierpliwość. Postawiła warunek: tylko ja mogę wejść do środka, tylko na korytarz. Miała na sobie jedynie szlafrok z kapucą zarzuconą na zmierzwiłone włosy, cuchnęła potem i moczem, twarz poczerwiała była tuszem, który

rozpuścił łzy, wymachiwała toporkiem. Na podłodze paliło się kilka świec. „Uwaga na psa!” – krzyknęła, pokazując ruchem głowy pudełko zapalek pośrodku kręgu płomieni. Dopiero potem dowiedziałem się, że chodzi o bernardyna na etykietce pudełka. Musiałem zdjąć buty, bo stałem na świętej ziemi... Zaniecham dalszego opisu, bo przecież nikt normalny nie chce oglądać ropiejących ran – w tym wypadku umysłu.

Po czterech miesiącach jakaś kobieta upewniła się telefonicznie, czy jestem w domu. Odniosłem wrażenie, że znałem jej głos. Zjawiła się pogodna, wymalowana, ubrana odświętnie. Przyniosła mi prezent – z wdzięczności za uratowanie drzwi i jej – zawahała się – godności. „Proszę to wziąć ode mnie, to nie jest dużo... Tak między nami: mąż i ja to przemycamy, handlujemy...” – powiedziała. Do ręki wcisnęła mi zgniecioną w kulkę folię aluminiową. Jeszcze raz zapewniła, że to nic wielkiego, że jest jej po leczeniu bardzo dobrze, że dziękuje. Pogłaskała mnie po policzku i wyszła zawstydzona.



na. W folii były dwie złote monety. Kupiłem sobie za nie pierwszy w życiu, upragniony odtwarzacz płyt kompaktowych.

Anioł

W świętego Szczepana językiem wy-czułem ubytek zęba. Następnego dnia rentgen pokazał zaawansowaną próchnicę jedenastu zębów, z których zaraz rozwiercono trzy, w jednym przeprowadzono leczenie korzenia. W takim stanie poszedłem do wiedeńskiego więzienia, gdzie miałem tłumaczyć zeznania jakiegoś rodaka, który nie znał niemieckiego. Sędzia śledczy po dwóch godzinach czekania – podczas których lewy policzek stał się dwa razy większy – wystawił mi odpowiednio papiery i zadzwonił po lekarza więziennego. Ten przedstawił mi moje zadanie, beznadziejne jego zdaniem: nakłonić czterdziestosiedmioletniego mordercę, żeby przerwał trwającą już czwartą dobę głodówkę.

Po kolejnych dwóch godzinach dostałem się do pomieszczenia w podziemiu z ośmioma oknami z bardzo grubego szkła, w których wywiercono po kilka otworów na wysokości głowy. Jeden ze strażników przekreślił kuchenny czasomierz na cyfrę 10. Tyle minut mieliśmy na rozmowę. Wszyscy szybko krzyczeli. Mój błady, apatyczny rozmówca zaraz na początku zakomunikował cichym głosem, że rozmowę ze mną ma w „d...e”. Ból zębów, czekanie i obelga z ust kryminalisty rozwścieczyły mnie tak bardzo, że odbiłem piłeczkę: jakby nie ta szyba, to dostałby w szczękę. Nie jadł, bo mu anioł z nieba zakazał. Wierzę w to? Bardzo się ożywił, kiedy przysiągłem, jak chciał, na Najświętszą Pannę z Częstochowy, że mu wierzę. Jednak jako ksiądz muszę go ostrzec: na jasełkach widziałem świętą Rodzinę i aniołów, a to były poprzebierane dzieci. Jeszcze lepiej potrafi przebierać się diabeł. O co mi chodzi, spytał zamyślony. Diabeł przypiął sobie skrzydła i ubrał długą białą szatę dla zakrycia kopyt! Dzwonek. Mój rozmówca przynaglany przez strażnika jeszcze zdążył krzyknąć: „Ale ja widziałem anioła!”.

Po trzech dniach zatelefonował do mnie lekarz więzienny. Odczekał dla pewności dwie doby. Teraz to już pewne: więzień je i zapewnia, że zawsze będzie jadł. Jak go do tego przekonałem? Zamieniłem anioła w szatana! Nie wiem, co sobie pomyślał, bo bez słowa odłożył słuchawkę.

Poliglotta

Był powszedni dzień, więc w wieczornej mszy świętej, odprawianej przez mojego kolegę, uczestniczyło co najwyżej trzydzieści osób. Siedziałem w konfesjonale i odmawiałem bre-wiarz, wypowiadawszy jedyne go penitenta. Przeraził mnie wrzask. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jakaś kobieta wykrzykiwała na cały głos obraźliwe wiązki najgorszych polskich przekleństw, nie wiadomo, do kogo skierowanych. Odsunawszy szybko na bok ciemnofioletową zasłonę, dostrzegłem okrągłą trzydziestolatkę, bardzo dobrze ubraną. Na jej niebrzydkiej twarzy, poza szeroko otwartymi ustami, nic się nie poruszało. Jej nieruchome oczy patrzyły przez modne okulary gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie. Nawet kiedy stanąłem tuż przed nią, sprawiała wrażenie, że mnie nie dostrzega. Zacząłem do niej spokojnie mówić, ale natychmiast pojąłem bezsens próby dotarcia do krzykaczki. Silnie chwyciłem ją za ramiona, potrząsałem i z całej siły wrzasnąłem: „Niech pani przestanie krzyczeć!”. I sam nie wiedząc dlaczego, dodałem: „Rozumie pani po polsku?”. Usłyszałem na to: „Nie, po angielsku!”. Zupełnie nie znam tego języka, ale jako dziecko oglądałem czarno-białe amerykańskie filmy. Polskiego lektora słysząc było na tle oryginalnych dialogów. Musiało mi nieświadomie zostać w pamięci kilka często powtarzanych fraz, bo ze zdziwieniem usłyszałem samego siebie: „Shut up!”. Natychmiast zapanowała cisza. Kobieta spuściła głowę, przeżegnała się, ukłękła i zakryła twarz dłońmi. Odczekałem jeszcze chwilę, po czym poszedłem do zakrystii.

ks. Andrzej Skrzypczak CR

Nasze wspólnoty

Kolędowanie

Chcielibyśmy podzielić się z Wami radością z przebywania razem na kolędowaniu wspólnoty Domowego Kościoła, które odbyło się 10 stycznia 2016 r.

Rozpoczęło się ono uroczystą Eucharystią w parafii Neusimmering przy Enkplatz 5. Ksiądz Czesław w ciepłych słowach powitał naszą wspólnotę oraz wszystkich zaproszonych gości. Zrobiło nam bardzo przyjemnie i ciepłutko w naszych sercach. Potem dzięki gościnności ojców Zmartwychwstańców, którzy udostępnili nam salę w domu parafialnym, rozpoczęliśmy kolędowanie, podzielił się wszyscy opłatkiem i zaczęło się śpiewanie kolęd. Cóż to był za czas!

Ksiądz Czesław, Michał Kucharko i Sebastian Luberta to nasze trio gitarowe – z jakim zaangażowaniem grali i śpiewali! My wszyscy, z przygotowanymi przez Joasię i Michała śpiewnikami, równie ochotczo włączaliśmy się do śpiewu. Był to czas niezapomnianych wrażeń artystycznych, duchowych przeżyć oraz fizycznego posilenia się pysznymi daniami, przygotowanymi przez członków wspólnoty. Radością naszą jest również to, że mogliśmy cieszyć się obecnością młodych małżeństw, przybyłych na ten dzień z kręgu pilotowanego przez Teresę i Marka Luberdę.

Wielkie Bóg zapłać za ten błogosławiony czas i za Was wszystkich.

Hania i Mariusz



Za co

Jezus oddał życie?

Dlatego gdy się modłę, to staram się prosić o rzeczy wielkie. O spełnienie największych pragnień. On w końcu przychodzi i umiera za te moje sprawy. Więc lepiej, żebym z Nim współpracował i również starał się, żeby moje życie było życiem w pełni.

Za co Jezus oddał życie? Za mnie, dla mojego zbawienia i odpuszczenia grzechów. Słyszysz to co i rusz. Jest to prawda, która przychodzi tak automatycznie, jak to, że dwa plus dwa jest cztery. Słyszysz to od małego, na katechezie, na niedzielnym kazaniu, uświadamiasz sobie w czasie Świąt Wielkanocnych. I co? Nie robi to na tobie najmniejszego wrażenia! Jak to, powiesz, na jakiej podstawie mogę wygłaszać takie sądy? Ano mogę, bo też jestem katolikiem i na mnie to też nie robi najczęściej najmniejszego wrażenia. Znam to z autopsji. Zresztą popatrz, co się stało po nakręceniu „Pasji” Gibsona. Ludzie zaczęli na nowo się zastanawiać nad tym, jak wielką ofiarę poniósł Bóg. Niektórzy uświadomili sobie dzięki temu, jak wielkim był bohaterem. Ci, którzy w katach i szydercach spod krzyża zobaczyli siebie, być może zrozumieli nie tylko, jak wielkim Jezus był bohaterem, ale też Zbawicielem. Zbawicielem kogo? Świata, tak? No dobrze, ale popatrz, jacy my jesteśmy uśpieni. Niby wiesz, że Jezus oddał za ciebie życie, ale jednak łzy płyną ci po policzkach, kiedy tę „Pasję” oglądasz! Dlaczego? To nie ma sensu. Przecież ty to wszystko powinienes już dobrze wiedzieć. W tym filmie nie ma nic nowego. Dlaczego jesteśmy na co dzień tacy znieczuleni i potrzebujemy tak mocnych obrazów, żeby męka Jezusa na nowo zrobiła na nas wrażenie? Otóż prawda jest okrutna – my się do tej ogromnej Łaski przyzwyczajamy. Ona nam powszednieje. Obchodzi nas tyle, co zeszłoroczny śnieg. I o ile ta prawda,

że Jezus jest Zbawicielem, jest nam znana tak dobrze jak to, że dwa plus dwa jest cztery, to niestety jest ona dla nas równie poruszająca i ekscytująca jak to, że dwa plus dwa jest cztery. To nas po prostu nie rusza. Niestety. To jest niegodziwe z naszej strony, ale tak jest. Powiesz, że to oczywiste, że przecież nie da się być emocjonalnie „na wysokich obrotach” przez cały czas. Że to przecież ludzkie, że gdy żona robi ci kanapki przez całe życie, to po jakimś czasie przestajesz to zauważać. Wiesz o tym, ale nie robi to na tobie wrażenia. No jasne – to jest ludzkie. Ale jakże niewdzięczne z mojej strony.

Podobnie mam z Eucharystią. Idę na Mszę i jest podniesienie. Centralny punkt mojej wiary. Oplątek zamienia się w ciało Chrystusa. Wierzysz w to? Że tam jest żywy Jezus i że go zjadasz? Ekhm, oj tam – to oczywiście symbol, Jezus umarł przecież prawie 2000 lat temu. Więc to tylko taka pamiątka, taka inscenizacja, prawda? Wiesz co? Jeśli uważasz, że to inscenizacja (a nie mówię, że wiara w przeistoczenie jest oczywista i łatwa), to idź do kościoła protestanckiego. Oni tam tak uważają. Daruj sobie tradycję, że cała rodzina była zawsze w Kościele Katolickim. Daruj sobie. Bądź uczciwy, okej? Jak nie wierzysz w przeistoczenie, to Kościół Katolicki nie jest dla Ciebie. I tu nie chodzi o mój fundamentalizm i o to, że będę cię teraz przepytawał ze wszystkich dogmatów i klasyfikował, czy się do Kościoła nadajesz czy nie. To nie jest egzamin z wiedzy, a tym bardziej z wiary. Tu chodzi o to, w jakiego Boga

wierzysz. W takiego, który był bohaterem 2000 lat temu i pozostawił po sobie Biblię, a teraz, drogie dzieci, radźcie sobie same? Czy może w takiego, który jest żywy tu i teraz, chociaż go nie mogę dotknąć ani zobaczyć? Bo to jest kluczowa sprawa.

Ja się zacząłem łapać na tym, że przeistoczenie nie robi na mnie wrażenia. Że cegogolwiek nie mam w głowie, to w moim sercu to po prostu nie gra. Mogłem oszukać każdego, ale siebie nie mogłem oszukać. Jezus Chrystus zmarł 2000 lat temu i pozostawił po sobie Kościół. W to wierzyłem. Ale nijak nie mogłem sobie przetłumaczyć, że on umarł dla mnie. Ta Eucharystia była po prostu zbyt często. Nie umiałem tego przeżywać na nowo niedziela po niedzieli, tydzień po tygodniu, 52 razy w roku. Można wykrzesać z siebie wzruszenie raz na jakiś czas, ale nie na zawołanie raz w tygodniu. A dlaczego? No bo ile razy można się ekscytować tym samym? Chociaż historia Zbawienia to piękna historia, to jednak była to dla mnie... no właśnie – historia. Jak historia o II Wojnie Światowej albo katastrofie smoleńskiej. Zauważ, że są ludzie, którzy 10 dnia każdego miesiąca spotykają się i upamięniają ofiary katastrofy smoleńskiej. To bardzo romantyczna i dramatyczna historia. Bardzo się wzruszam, gdy o niej pomyślę. Ale wzruszać się tym co miesiąc? Nie potrafiłbym. To tylko historia. Opowiedziana pięćdziesiąt razy już nie zaskakuje. Wzruszenie jest słabsze, emocje są słabsze, wszystko jest słabsze. To tylko historia, ona na co dzień nie ma wpływu na moje życie.

I niestety tak samo jest ze zbawieniem. Ono już się dokonało. To jest historia. Jezus umarł i zmartwychwstał. Kurtyna. On był Zbawicielem. Już wszystkich zbawił. Tu już się nic nie wydarzy. Nic mnie już więcej nie zaskoczy. Jakkolwiek nie rozumieć słowa „zmartwychwstał”, dla mnie raczej umarł. A przynajmniej do żywych bym go nie zaliczył. I ta cotygodniowa inscenizacja. Najpierw podniesienie, kiedy chleb staje się Jego ciałem, a potem „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata” – czyli upamiętnienie, że umarł, zmartwychwstał i zgładził grzechy wszystkich. Misja zakończona. Po to przyszedł na świat, zrobił, co miał zrobić i po robotcie. Tak to widziałem. Nie da się przeżyć Eucharystii, jeśli się to tak widzi. Nie da się bez końca robić inscenizacji, pamiątki czy jakkolwiek to zwać. No chyba że

traktujesz Mszę jako coś do odbębnienia, to wtedy wszystko można przeżyć, ale współczuję. W pewnym momencie zrozumiałem, że Eucharystia nie ma prawie nic wspólnego z historią. Że Bóg też nie ma wiele wspólnego z historią, a te aspekty, które są o historii, są zwyczajnie nudne i nieatrakcyjne. Jasne, można studiować Stary Testament, można czytać Nowy, szukać coraz to wierniejszych tłumaczeń, rozgryzać konteksty kulturowe. Można być studentem Biblii. Ale po co? Równie dobrze można kolekcjonować znaczki. Poza tym – tak mnie to teraz uderzyło – „Talib” oznacza dosłownie „student Koranu”. Cóż, ja nie chcę być katolickim odpowiednikiem Taliba, jakimś „Katotalibem”. Nie cierpię formy, która ogranicza. To może moja słabość i niedojrzałość, ale nie cierpię tych wszystkich wspólnot ewangelizacyjnych, których spotkania są bardziej sformalizowane niż zebrania Konwentu Seniorów w Sejmie. Nie rozumiem tej modlitwy w stylu: „Panie Jezu, Ty mnie oświecasz, jesteś światłem mojego życia, dziękuję Ci, Panie Jezu”. Przecież to jest takie szablonowe, a jednocześnie takie niekonkretne. „Jesteś Panem mojego życia” – to zdanie pojawia się na każdej modlitwie, na każdym spotkaniu wspólnoty, za każdym razem. Gdzie tu jest życie? Co to w ogóle oznacza, że Jezus jest Panem mojego życia? Jak słucham tych ludzi, to mam wrażenie, że to takie ładne, romantyczne powiedzonko, którego się nauczyli i już.

Zrozumiałem, że żeby przeżyć Eucharystię, muszę uświadomić sobie, że to nie jest historia i że to się dzieje teraz, w bardzo konkretnych okolicznościach mojego życia. Że za każdym razem, kiedy przez ręce kapłana chleb staje się ciałem Chrystusa, to staje się tym ciałem nie w ramach inscenizacji, żebym sobie przypomniał, jak to było 2000 lat temu. Ten chleb staje się ciałem po to, żeby to ciało mogło umrzeć i zmartwychwstać dla mnie, tu i teraz. A skoro to jest dla mnie, to znaczy, że ja będę miał z tego jakąś korzyść, jakieś błogosławieństwo. Więc odnoszę to bardzo dosłownie. Jezus przyszedł na świat, żeby dać życie swoim owcom i żeby to życie było w obfitości, a także po to, żeby zgładzić nasze grzechy. To są dwa równorzędne cele, które są symbolizowane wypływającą z serca Jezusa wodą i krwią. Krew zmywa grzechy, woda daje życie. I to się dzieje teraz, w styczniu 2016. On chce zgładzić moje grzechy, bo tak bardzo

mnie ukochał, że chce mi je odpuścić, żeby mi nie ciążyły. Konkretnie grzechy. Te głupoty, które wyprawiałem na Sylwestrze, to tchórzostwo, jak trzeba było się postawić, to lenistwo, kiedy trzeba było dyscypliny. On do tych konkretnych grzechów przychodzi i chce życie oddać, żeby mi je odpuścić. I chce mi dać życie w obfitości. Nie chce być jakimś bezosobowym „Panem mojego życia”. Chce mi błogosławić w konkretnych rzeczach. Chce mi pomóc w projekcie, który robię w pracy, chce mi pomóc w relacji z kobietą, którą poznałem, chce mi błogosławić w mojej drodze do odzyskania odwagi. On po to przychodzi. To są te konkretne sprawy, za które On życie oddaje. Za tydzień będą inne. To jest wszystko żywe i prawdziwe. Nie ma miejsca na frazesy i wyuczone formułki. On mnie tak kocha, że naprawdę chce mojego szczęścia. I to nie jest zawieszone w próżni, tylko osadzone bardzo konkretnie w moim życiu takim, jakie jest, w moich relacjach, w moich problemach, w moich radościach i trudnościach. Dlatego gdy się modłę, to staram się prosić o rzeczy wielkie. O spełnienie największych pragnień. On w końcu przychodzi i umiera za te moje sprawy. Więc lepiej, żebym z Nim współpracował i również starał się, żeby moje życie było życiem w pełni. Lepiej, żeby On oddawał życie za relację, w którą wierzę i której się poświęcam.

Lepiej, żeby On błogosławił wielkie rzeczy, którymi się zajmuję, a nie byle co. Jeśli nie żyję w pełni, jeśli nie dążę do życia w obfitości, to tę Łaskę lekceważę i marnuję, jak gdybym dostał najlepszy superkomputer świata i zamiast wykorzystywać go do najlepszych możliwych programów i najwspanialszych gier, grał tylko w pasjansa i odbierał e-maile. To się po prostu nie godzi. To jest marnowanie Łaski. Jezus przyjdzie i da więcej, jasne. Nie obrazi się. Ale zwyczajnie szkoda jest marnować taki potencjał na życie byle jakie, bez radości, bez pasji, bez wielkiej miłości i wielkich dzieł. Czyli mówiąc językiem biblijnym na życie NIE w obfitości.

A więc za co Jezus oddał życie? No jak to – już odpowiedzieliśmy frazesem w pierwszym zdaniu, prawda? Oddał życie za mnie, bo mnie kocha, tak? Tak, chyba tak. Ale mi się wydaje, że pytanie jest źle zadane. Jezus nie należy do historii. On nie umarł, zmartwychwstał, zbawił. On umiera, zmartwychwstaje i zbawia ciebie, konkretnego ciebie w twojej konkretnej, aktualnej sytuacji. Więc kiedy następnym razem będziesz na Mszy, to zadaj sobie/Bogu pytanie w czasie przeistoczenia: „Panie Jezu, Ty dziś znów umierasz po to, żebym ja mógł żyć. Co to jest za życie, którym ja żyję, że Ty oddajesz za nie swoje?”

Szachista



Dlaczego?

Czy potrafisz razem z Hiobem, którego Bóg tak srodze doświadczył, okazać wdzięczność także za te trudne oraz bolesne doświadczenia?

„Dlaczego?” – pyta matka, która poroniła dziecko. „Dlaczego?” – zastanawia się ojciec, którego syn w wieku 18 lat popełnił samobójstwo. „Dlaczego?” – woła córka, której nie pozwalają wziąć matki ze szpitala, żeby ta mogła tam w spokoju umrzeć. „Dlaczego?” – mówi uchodźca, któremu wojna odebrała wolność i wszelkie dobro. Tak można by kontynuować tę listę, niemal bez końca. Cóż można powiedzieć w obliczu tych i jeszcze innych wielkich nieszczęść? Co powiedzieć lub poradzić cierpiącym ból straty? Jakie zachowanie byłoby właściwe, a jakiego nie wypada okazywać? To trudne pytania, więc i odpowiedź niełatwo jest znaleźć. Może należy po prostu trwać przy obolałym przyjacielu, członku rodziny, sąsiedzie. Może Bóg ześle jemu i tobie jakieś słowo pocieszenia, które was podniesie na duchu. A może trzeba będzie przejść przez całą tę dolinę zwątpienia i rozpaczyny niejako po omacku, nie widząc wyjścia. Zapewniam cię jednak, że On czuwa nad twoimi krokami, bo jest Dobrym Pasterzem. Wiem, jeśli właśnie przeżywasz któryś w powyżej opisanych stanów, nie jest ci do śmiechu i nie wierzysz może w ogóle w Jego obecność przy tobie. Dlatego właśnie tak bardzo potrzebna jest obecność drugiego człowieka. Jego uwaga, dobro i wytrwałość mogą dać ci siłę do powstania, podniesienia głowy i uwierzenia ponownie, że z Nim niczego ci nie brakuje. Cokolwiek bowiem się stanie, jak jest napisane w Biblii, lepiej wpaść w ręce Boga niż człowieka. Nie lękaj się tego. Nie obawiaj się też pytać Go – „dlaczego?”. On nie obawia się Twoich pytań i na pewno cię słyszy. Jego wielkość, wszechmoc

i władza nie umniejszą się przez twoje wątpliwości, wręcz przeciwnie – jego chwała wzrośnie przez twoje Nim zainteresowanie. Zainteresuj się więc Bogiem, bo On jest przy tobie dzień i noc. On trwa i jest Bogiem z Tobą. Jemu możesz postawić każde, choćby najgłupsze twoim zdaniem pytanie, a On cię nie wyśmiej. Najtrudniejsza do zniesienia jest dla Niego bowiem obojętność. W jednej z ksiąg Pisma Świętego zachęca nas, abyśmy byli zimni albo gorący, ponieważ jeśli będziemy letni, wypłuje nas ze swoich ust. Być w ustach Boga to cieszyć się Jego błogosławieństwem i słyszeć Jego słowa, podążać Jego drogą. Nie chciałbyś zapewne być przez Niego zapomnianym, gdyż wtedy zwyczajnie przestałbyś istnieć. Jahwe, Bóg, który jest, nie tylko stwarza, ale też podtrzymuje wszystko w istnieniu. Jemu zawdzięczasz każdą chwilę twego życia. Wiem, łatwo jest dziękować za te piękne i dobre chwile. Wtedy wdzięcz-

ność rodzi się niejako spontanicznie, a usta mówią z obfitości serca. Czy potrafisz razem z Hiobem, którego Bóg tak srodze doświadczył, okazać wdzięczność także za te trudne oraz bolesne doświadczenia? Nie, nie jest to łatwe i czasami możliwe dopiero po latach. To tak jak z tym naszym ludzkim przebaczeniem. On przebacza natychmiast, gdy żałujesz, człowiek natomiast najczęściej potrzebuje na to wiele czasu. Jest to wszak proces, w czasie którego przechodzi się wiele faz i powoli dojrzewa do przebaczenia innym, Bogu i w końcu sobie. Nie zrażaj się więc swoją oschłością, brakiem pociechy duchowej, wręcz wrogością do swoich krzywdzicieli. Mimo wszystko trwaj w modlitwie za nich i za siebie. Wierny Bóg wysłucha tej prośby, bo coś mogłoby być ważniejsze niż przebaczenie i pojednanie? Z czasem twój ból zamieni się w radość, czego tobie i sobie z całego serca życzę!

Lila Kudyba





*I*ntegracja?

Chrystus nie był pacyfistą, ale Mesjaszem, Synem Bożym, posłanym na świat dla naszego zbawienia. Kiedy było to konieczne, potrafił się bronić, a nawet mówić o tym, że nie przyszedł przynieść na świat pokoju, ale poróżnienie między członkami rodziny.

Gdy wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one. Niejeden raz może już słyszałeś to przysłowie. Co ono właściwie próbuje wyjaśnić? Po trochu usprawiedliwia nasz ludzki konformizm, kiedy to łatwiej poddać się dynamice grupy niż płynąć pod prąd. Po drugie wskazuje na konieczność integrowania się z otoczeniem. Co to jednak tak naprawdę znaczy? Czy mam zapomnieć o moim miejscu pochodzenia, o mojej kulturze, o tradycji i zwyczajach, a zamiast tego przejąć te obowiązujące i mające znaczenie w miejscu obecnego zamieszkania? Byłaby to jednak asymilacja, nie zaś tak sławiona obecnie integracja lub tzw. inkluzja. W tej ostatniej chodzi o różnorodność rozumianą tak, że każdy może odnaleźć w niej miejsce dla siebie. Z jednej strony jest to chlubne dążenie, bo dlaczego by od-

dzielać ludzi upośledzonych i zamykać ich w specjalnych ośrodkach? Czy nie lepiej stworzyć takie warunki życia, żeby i oni mogli swobodnie i godnie żyć w społeczeństwie? Z drugiej jednak strony, czy otwarcie na wszystko nie otwiera nas na wszelkiego rodzaju dewiacje? Czy muszę akceptować i tolerować każde zachowanie ludzkie? Myślę, że nie! Owszem, muszę i powinnam każdego człowieka szanować i kochać go miłością chrześcijańską, czyli taką, która życzy mu dobra. Nie jestem jednak osłem (choć nawet ten ma swój rozum), żeby jako człowiek wierzący godzić się na wszystko. Chrystus przecież nie był pacyfistą, ale Mesjaszem, Synem Bożym, posłanym na świat dla naszego zbawienia. Kiedy było to konieczne, potrafił się bronić, a nawet mówić o tym, że nie przyszedł przynieść na świat pokoju,

ale poróżnienie między członkami rodziny. Zawsze przecież powiedzenie „tak” jednej rzeczy czy rzeczywistości oznacza powiedzenie innej „nie” i odwrotnie. Dlatego jeśli mówię Bogu „tak”, to zgadzam się żyć według jego planu. To zaś niesie ze sobą poważne konsekwencje. Może zostanę wyśmiana przez innych jako zaściankowa i „ciemnogród” albo zostanę obrzucona jakimiś innymi przymiotnikami. Czy jednak ludzie nie przebiegają się, nie malują twarzy, nie śpiewają i nie pielgrzymują na mecze swojej ulubionej drużyny piłkarskiej czy też koncerty swojego idola muzycznego? A to przecież tylko ludzie! My zaś wierzymy w Boga prawdziwego, Boga żywego i miłosiernego. Może nie zawsze uda się nam stanąć na wysokości zadania i zaświadczyć życiem oraz słowem o przynależności do Chrystusa. Warto jednak próbować i nie zniechęcać się! Przecież nasi bracia i siostry, którzy mieszkają nie tak daleko od nas, oddają za Niego swoje życie. Przyszło nam żyć w ciekawych czasach, a co nas jeszcze czeka – tego nie wiemy. Jedno jest pewne: On jest z nami po wszystkie dni aż do skończenia świata. Dlatego nie musisz krakać. Możesz czasem zaryczeć jak lew, innym razem zaśpiewać jak skowronek, a jeszcze innym – przemówić ludzkim głosem, niezależnie od tego, w jakim otoczeniu się znajdziesz. Życzę tobie i sobie odwagi do życia na miarę dziecka bożego, które się nie lęka, bo jest kochane i kocha.

Lila Kudyba



Msze Święte i nabożeństwa

Niedziela

- Msze św. o godz. 8:00, 9:00, 10:30, 12:00, 13:15, 17:30, 19:00, 20:15
- Różaniec w każdą pierwszą niedzielę miesiąca o godz. 16:30
- Apel Jasnogórski po Mszy św. o godz. 20:15
- W okresie Wielkiego Postu dodatkowa Msza św. o godz. 16.00, a po niej Gorzkie Żale

Poniedziałek

- Msza św. o godz. 18:00 i 19:00

Wtorek

- Koronka do Miłosierdzia Bożego: 18:45
- Msza św. o godz. 18:00 i 19:00

Środa

- Różaniec godz. 18:30
- Msza św. o godz. 18:00 i 19:00
- W każdą środę po Mszy św. o godz. 19:00 Nowenna do Matki Bożej Nieustającej Pomocy oraz Apel Jasnogórski

Czwartek

- Msza św. o godz. 18:00 i 19:00
- Adoracja Najświętszego Sakramentu godz. 18:30-19:00
- W pierwszy czwartek miesiąca po Mszy św. o godz. 19:00 modlitwa o powołania kapłańskie i zakonne oraz adoracja Najświętszego Sakramentu

Piątek

- Msza św. o godz. 18:00 i 19:00
- Koronka do Miłosierdzia Bożego o godz. 18:45
- W pierwszy piątek miesiąca Msza św. o godz. 17:00 dla

dzieci, po Mszy św. o godz. 19:00 – adoracja Najświętszego Sakramentu i nabożeństwo ku czci Serca Pana Jezusa.

- W drugi piątek miesiąca po Mszy św. o godz. 19:00 – czuwanie modlitewne wspólnoty „Galilea”

Sobota

- Msza św. o godz. 18:00 w języku niemieckim (Vorabendmesse/deutsch)
- Msza św. o godz. 19:00 (msza niedzielna)
- Apel Jasnogórski po Mszy św. o godz. 19.00
- W pierwszą sobotę miesiąca po Mszy św. nabożeństwo fatimskie

STUDIO MEBLI KUCHENNYCH i innych



www.apostolski-meble.pl
aj@apostolski-meble.pl

MEBLE DLA WYMAGAJĄCYCH
Prezj i najwyższa jakość wykonania



Kraków
ul. Krowoderskich Zuchów 4
tel./fax: 12 415 89 45
tel. kom.: 792 218 258, 602 111 390



25 LAT TRADYCJI W PRODUKCJI MEBLI

Powrót do ojca

Rembrandt, Powrót syna marnotrawnego, obraz olejny (ok. 1660–1669 r.)

W ostatnim numerze „Nasze Wspólnoty” pisałam o pięknej rzeźbie Donatella – florenckiego rzeźbiarza żyjącego na przełomie XIV i XV wieku. Tym razem chciałabym przenieść się o ponad dwa stulecia później i wspólnie z naszymi Czytelnikami przyjrzeć się jednemu z najbardziej znanych dzieł niderlandzkiego artysty epoki baroku – obrazowi „Powrót syna marnotrawnego” Rembrandta. Rembrandt van Rijn, nazywany „malarzem duszy”, uznawany jest za jednego z największych malarzy europejskich i światowych. Pozostawił po sobie około 300 obrazów olejnych, 300 grafik i blisko 2 tysiące rysunków. W centrum jego dzieł zawsze znajdują się emocje – oddane czy to za pomocą barw, czy to przez często stosowany przez artystę światłocień, czy wreszcie przez niezwykle rysy przedstawionych postaci.

Podobnie jest w przypadku obrazu „Powrót syna marnotrawnego”, ostatniego dzieła malarza, który w momencie jego tworzenia był bankrutem i żył w ogromnej nędzy. Obraz przedstawia doskonale znaną nam wszystkim scenę z przypowieści z Ewangelii św. Łukasza o synu marnotrawnym, a konkretnie moment powrotu syna do ojca. Na przeważającej części dzieła panuje półmrok, oświetleni są przede wszystkim dwaj główni bohaterowie. Syn ukazany jest od tyłu w pozycji klęczącej, która ma wskazywać na jego skruchę i uniżenie. Brudny, podarty strój, zdarte podszwy i ogolona głowa pokryta strupami wskazują na trudy jego podróży oraz biedę, w której żył w ostatnim czasie. Widzimy co prawda tylko jego profil, ale z całą pewnością możemy stwierdzić, że jego twarz wyraża ogromną ulgę i spokój. Ojciec nachyla się nad synem i czule przytula go do siebie. Cała jego postawa wyraża miłość i tro-

skę. Warto przyjrzeć się jego dłoniom – jedna wydaje się męska, natomiast druga bardziej przypomina delikatną dłoń kobiety. Z boku całej scenie przypatruje się prawdopodobnie drugi syn, który daleki jest od czułych gestów i radości.

Kiedy patrzę na ten obraz, najbardziej przejmuję mnie widok ojca, który zarów-

no w przypowieści, jak i na obrazie przywołuje na myśl samego Boga. Dwie różne dłonie można chyba uznać za symbol dwóch różnych natur Boga – męskiej, a więc silnej, sprawiedliwej i odważnej, oraz kobiecej – wrażliwej, opiekuńczej i czulej. W porównaniu do pozostałych postaci przedstawionych na obrazie syn marnotrawny stanowi wręcz nieszczęsny widok. Mimo to z jego postawy, ufne go wtulenia się w ramiona ojca, emanuje ogromna siła – siła żalu i przebaczenia, a przede wszystkim siła miłości. Polecam zatrzymanie się nad obrazem „Powrót syna marnotrawnego” Rembrandta zwłaszcza w okresie Wielkiego Postu. Mnie przypomina o tym, jak bardzo jestem słaba i niedoskonała, a przy tym jak doskonale piękny jest nasz Bóg. A o czym przypomina Tobie?

Patrycja Maciejewska



Miłość to Męka, Śmierć i...

